KS. F. A. CEGIEŁKA
SIOSTRA FAUSTYNA
SZAFARKA MIŁOSIERDZIA BOŻEGO
Stron 396. Płócienna oprawa. Cena 17/6.
wysyła:
KATOLICKI OŚRODEK WYDAWNICZY „VERITAS"
12, PRAED MEWS, LONDON, W. 2

ŻYCIE

KATOLICKI TYGODNIK RELIGIJNO-KULTURALNY

CENA 1 sh.

JEŚLI LEKI, TO Z APTEKI
GRABOWSKIEGO
175, DRAYCOTT AVENUE,
LONDON, S.W.3, ENGLAND

ROK IX. Nr 28 (420)

NIEDZIELA, 10 LIPCA 1955 R.

DECYZJA STOLICY APOSTOLSKIEJ

W SPRAWIE KSIĄŻKI PIASECKIEGO I PISMA „DZIŚ I JUTRO"

Najwyższa Święta Kongregacja Św. Oficjum

DEKRET

ZAKAZ KSIĄŻKI I WZBRONIENIE CZASOPISMA

Środa, dnia 8 czerwca 1955

Na generalnej sesji Najwyższej Świętej Kongregacji Św. Oficjum, Ich Eminencje Księża Kardynałowie, którym jest powierzone czuwanie nad sprawami wiary i obyczajów, po wysłuchaniu zdania Przewielebnych Konsultorów, potępili i zabronili *):

1. książki BOLESŁAWA PIASECKIEGO pod tytułem ZAGADNIENIA ISTOTNE, Warszawa, „Pax", 1954 r.

2. tygodnika pod tytułem DZIŚ I JUTRO, Warszawa.

A dnia 24 tegoż miesiąca i roku, Jego Świątobliwość Pius XII z Bożej Opatrzności Papież przedłożoną Sobie rezolucję Kardynałów zaaprobował, potwierdził i nakazał ogłosić.

Dan w Rzymie, z Siedziby Św. Oficjum, dnia 28 czerwca 1955.

MARIUS CROVINI
Notariusz

*) oznacza to zakaz: czytania, przechowywania i rozpowszechniania. (przy. red.)

KOMENTARZ „OSSERVATORE ROMANO"

„Oba potępienia podane na tej stronie*) były konieczne ze względu na potrzebę jasnego sprecyzowania stanowiska właśnie w dziedzinie religijnej.

Podczas gdy Kardynał Wyszyński i inni Biskupi polscy są w więzieniu lub doznają przeszkód w wykonywaniu swojego urzędu biskupiego, my stoimy wobec nie dającej się wytłumaczyć (un inqualificabile tentativo) tendencji, by przedstawić reżymy komunistyczne jako respektujące wolność Kościoła katolickiego.

Pisarz Bolesław Piasecki, będący osobą eksponowaną polskich „katolików postępowych", i tygodnik „Dziś i Jutro" są w liczbie najgorliwszych szerzycieli tych fałszywych twierdzeń i zabiegają o to, by przemycić je także katolikom z tej strony żelaznej kurtyny.

Książka Piaseckiego (Zagadnienia istotne) podtrzymuje zasady i idee tego rodzaju: że Chrześcijaństwo do tego czasu myliło się, podkreślając zbytnio pojęcie Odkupienia, podczas gdy dziś powinno się bardziej uwydatniać pojęcie Stworzenia, od którego pochodzi ocenianie (waloryzowanie) pracy ludzkiej; że ci, którzy pracują dla przetworzenia świata, są — w pewien sposób — czcicielami Boga, nawet, jeśli są ateuszami i zwalczają religię; że reżymy komunistyczne żądają od katolików, by realizowali katolicką doktrynę społeczną, która utożsamia się, zresztą, z zasadniczymi pojęciami społecznej doktryny komunizmu.

Autor, który był przez krótki czas w więzieniach bolszewickich, teraz stał się obrońcą doskonałej zgody między katolikami i komunizmem na polu polityczno-społecznym; ale naprawdę jest on poplecznikiem całkowitego poddania się katolików komunizmowi.

Ta sama teza jest stale broniona przez wyżej wspomniany tygodnik „Dziś i Jutro", na którego łamach były publikowane artykuły Piaseckiego, zebrane następnie w tomie, o którym mowa.

Ci „progresiści" zapomnieli zupełnie o wyraźnych i dokładnych wyjaśnieniach Papieży i Świętego Oficjum o zasadniczej sprzeczności (inconciliabilità fondamentale) obu ideologii, także na polu społecznym; nie chcą widzieć wszystkich działań skierowanych — w praktyce — przez reżymy komunistyczne przeciw religii, przeciw świętym prawom Kościoła i przeciw Hierarchii katolickiej.

Nie wiemy wreszcie, czy przypisać skutkom krótkiego okresu spędzonego w więzieniach rosyjskich czy też fanatyzmowi neofityzmu Piaseckiego ustawiczne wychwalanie przez niego (esaltazione) — w sensie jakby mesjanistycznym — komunizmu jako jedynego zbawcy ludzkości i jego zapamiętałość w dążeniu, ażeby katolicy i Kościół oddali się w całkowitą służbę reżymu celem przetworzenia Państwa w sensie marksistowsko-leninowskim.

Obecne potępienie wzmacnia i potwierdza postawę przyjętą już, w tej materii, przez Episkopat Polski.

Tutaj pragniemy przypomnieć następujące oświadczenie J. Em. Kardynała Wyszyńskiego, uczynione 12 lutego 1950:

„Pragnę wyrazić swoje ubolewanie pod adresem pewnego odłamu prasy i skupionych przy niej ludzi, którzy nazywając się „katolikami postępowymi" niepokoją nas brakiem zmysłu katolickiego, niedouczeniem teologicznym, a dziś chcą odegrać niezrozumiałą rolę nauczyciela i mentora Biskupów...

„Katolików polskich ostrzegamy przed głoszonym w tej prasie pomieszaniem pojęć, zwłaszcza w dziedzinie moralnej i społecznej, przed błędną oceną stanowiska Ojca świętego, płynącą z tych pism, których za katolickie uważać nie możemy..."

Także 8 maja 1953 wszyscy Biskupi Polski ostrzegli Polaków przed zakusami odseparowania księży od prawowitej Hierarchii Kościoła i zwrócili uwagę na grupę „Dziś i Jutro", której jednym z organów jest tygodnik pod tym samym tytułem, a której najbardziej fanatycznym przywódcą jest pisarz Piasecki.

Należy pragnąć, ażeby dzisiejsza interwencja Stolicy Świętej, usuwająca definitywnie pomieszanie pojęć spowodowane przez „progresistów" wśród katolików z tamtej i z tej strony żelaznej kurtyny, skłoniła błądzących do zaniechania ich zgubnej akcji przeciw Świętej Matce, Kościołowi."

*) Mowa o stronie „Osservatore Romano".

J. A. MARYAŃSKI

MARKS — PRAWDZIWY

„Bez Karola Marksa nie byłoby ani Lenina, ani rewolucji rosyjskiej, ani systemu sowieckiego. I na odwrót: bez Lenina, bez rewolucji rosyjskiej i systemu sowieckiego nazwisko Karola Marksa interesowałoby dziś tylko niewielu".

Doktryna marksistowska, której groza w bolszewickim wcieleniu doszła do gigantycznych rozmiarów, od dawna pobudzała umysły krytyków. Zadna tez z teorii urządzenia świata nie spotkała się z tak obfitą i tak gruntowną odprawą, co marksizm. Podczas gdy analiza teorii marksizmu osiągnęła już dawno niejako stan nasycenia, do tej pory brak było spojrzenia na ideologię marksistowską poprzez osobę jej twórcy.

A jest to przecież zagadnienie kapitalnej wagi: kim był w istocie człowiek, który tę ideologię stworzył? W jakim stopniu jego dzieło jest odbiciem jego osobowości?

Od stu z górą lat obowiązywała w świecie legenda, ukazująca Marksa, jako szlachetnego, bezinteresownego, heroicznego, prześladowanego przez kapitalistów orędownika klasy robotniczej.

W poszukiwaniu odpowiedzi na wyżej postawione pytania zarejestrować trzeba dwa ujęcia tego zagadnienia, które się z sobą w pewnym stopniu wiążą, a które opublikowane zostały ostatnio w Niemczech Zachodnich, a więc na przedpolu wojującego marksizmu, silnie uczulonym na jego niebezpieczeństwo.

„CZERWONY PRUSAK"

Utartą legendę Marksa obala biografia „Der rote Preusse", dzieło Leopolda Szwarzschilda (wyd. Scherz. u. Goverts-Verlag, Stuttgart, 470 str.).

Autor, radykalny liberał, wybitny publicysta, wydawca czasopisma „Das Tagebuch" (do 1933 w Berlinie, do 1940 w Paryżu a potem w Nowym Jorku), oparł swą pracę na bardzo cennym materiale: na kompletnym, czterotomowym wydaniu korespondencji Marksa z Engelsem. Ukazało się ono w Moskwie w 1930 r. Wydawcy tej korespondencji wkrótce potem... zniknęli bez śladu.

Prawdziwy Marks był wszystkim innym — tylko nie ideałem.

Charakter miał w najwyższym stopniu nieprzyjemny. Najgorszymi jego cechami były: egoizm, niewdzięczność, niewierność, fałszywość, intryganctwo i nieprzeparta skłonność do moralnego zniesławiania i niszczenia nie tylko przeciwników, ale też krytyków z własnego grona (nie wyłączając uległego i zawsze posłusznego Engelsa). Każdy środek był mu dobry („cel uświęca środki...") — a więc potwarz, obmowa, kłamstwo.

Jak dalece te negatywne cechy charakteru Marksa znalazły wyraz w charakterze jego dzieła i stały się teoretycznymi pozycjami systemu — to pozostanie kwestią sporną. Samo narzuca się jednak porównanie między despotyczną i intrygancką naturą Marksa a szpiclowskimi i niszczycielskimi metodami terroru „dyktatury proletariatu", które znamionują bolszewizm. Wreszcie, z przeświadczenia Marksa o własnej nieomylności powstała ortodoksja marksistowska, która w Sowietach występuje pod postacią ścisłe dogmatycznej pseudoreligii, utrzymywanej przez bezwzględny aparat państwowy.

Obrońcy Marksa, robiący zeń „demokratę", często występują z twierdzeniem, że sowiecki komunizm wcale nie jest realizacją marksizmu. Zdaniem ich, marksizm to ideologia partii demokratyczno-socjalistycznej. Rzecz jednak w tym, że realizacja programu socjaldemokratycznego nie jest do urzeczywistnienia bez rezygnacji z głównych pozycji czystej doktryny Marksa, podczas gdy stalinizm-leninizm powoływać się może na Marksa w całej rozciągłości.

Tę tezę Schwarzschilda zaatakować niełatwo.

Zdaniem jego Marks dlatego nie ujawnił, jak się powinno rozwijać jego „społeczeństwo przyszłości", gdyż widział je takim, jakie urzeczywistniło się w Sowietach: ustrój totalny, w którym dyscyplina i organizacja pochłaniają wolność. — Marks wiedział zapewne, jak wątpliwą jest wartość propagandowa takiego obrazu przyszłości. Marks wolał więc nie mówić o nim głośno. Zmilczał wreszcie o społeczeństwie przyszłości i dlatego, ponieważ chciał się odciąć od utopijnych socjalistów i ich nierealnych wizji raju na ziemi. Jego system miał być „naukowy". Jak mu zaś do naukowości daleko, wykazuje Schwarzschild znów biograficznie: główne tezy Marksa, które zresztą w większej części nie były jego własnymi tworami, zostały dawno ustalone, zanim je przybrał w szatę „nauki". Mimo całego żargonu naukowego, jądra systemu pozostają wciąż nie dowiedzione.

Tak więc za pomocą nowych argumentów Schwarzschild dowodzi, że Marks był świeckim prorokiem, nie mniej utopijnym, niż jego poprzednicy. Prorok ten miał przy tym pecha, że rzeczywistość regularnie obalała jego prognozy.

Cechą bardzo dla Marksa znamienną jest jego wielki sentyment dla Prus. Autor poświęca mu wiele uwagi. Pruska idea państwowa, mówi Schwarzschild, zawiera w sobie wszystkie zarodki totalizmu. Gdy więc Marks swoje państwo przyszłości widział jako „system nienagannie dzielnych, idealnie zdyscyplinowanych, wzorowo produktywnych pułków fabryk, pułków kopalń, pułków biur, pułków laboratoriów, pułków rolników" — to był to w prostej linii pruski wzór, „nadpruskie państwo termitów, oparte na podpruskich środkach", „Prusy minus Dekalog". Schwarzschild wykazuje jasno jedność totalizmu: jego istotne cechy są jednakowe w odmianie czerwonej czy brunatnej.

Dotychczasowym badaczom Marksa „wielkość" jego koncepcji przysłaniała ohydę ich konsekwencji.

Schwarzschild, patrząc na koncepcję poprzez człowieka, pierwszy zobaczył to, co u Marksa gra decydującą rolę: jego bezwzględność w stosunku do wartości człowieczeństwa w życiu codziennym i w stosunku do wartości prawdy w nauce, a więc w stosunku do tych wartości, dla których świat miał się pogrążyć w odmęty rewolucji.

Obnaża wreszcie Schwarzschild nieuczciwość gospodarczych prac Marksa, przede wszystkim „Kapitału". Tak charakteryzuje jego „metodę": „gdy (Marks) czytał ekonomię, nigdy nie myślał o czymś innym, jak tylko o swojej idée fixe (tj. o wierze w sprzeczności nowoczesnej gospodarki, które zlikwidować można tylko za pomocą rewolucji — przyp.); w tym opętaniu w ogóle nie dostrzegał dwóch trzecich rzeczy, których trzeba się nauczyć, a pozostałą jedną trzecią wchłonął w siebie w formie wypaczonej".

Znaczenie i aktualność Marksa polega i na tym, że owa jego mala fides nie jest zjawiskiem odosobnionym. Odnajdujemy ją w całym szeregu upiorów ostatnich lat kilkudziesięciu — upiorów, które własną wolę czynią miarą dla wszystkich. Lenin, Mussolini, Hitler, Stalin...

Karol Marks, syn notariusza z Trewiru, jest antenatem tego długiego ciągu i założycielem straszliwej wiary.

◆

Ruch robotniczy stanowi bez wątpienia wielkie reale ostatniego stulecia. Ale też niewątpliwą jest rzeczą, że małżeństwo jego z marksizmem jest bardzo niedobrane. I tu między innymi tkwią źródła tragizmu naszych czasów.

Do rozwiązania tego niefortunnego małżeństwa przyczynić się mogą krytycznie, naukowo poważne, źródłowe naświetlenia problemu. Zadanie to podejmuje dzieło Leopolda Schwarzschilda i w tym wydaje się leżeć główna jego wartość.

RZECZYWISTOŚĆ OBALA PROGNOZY MARKSA

— Dzisiejszy świat „zachodni", który dawno już odrzucił nauki Marksa, jest bardziej marksistowski, niż sam sądzi. „Wschodni" świat natomiast, który przysięga dziś stale na brodę Marksa, nosi w sobie dokładnie te same znamiona, które Marks uznał za cechy społeczeństwa kapitalistycznego. —

Na tych, paradoksalnych na pozór tezach, zbudował Siegfried Landshut, profesor uniwersytetu hamburskiego, swój niezmiernie interesujący wykład w „Akademii Wiedzy Powszechnej".

„Chytrość dziejowego rozsądku" (jak to nazywał Hegel) zadała znakomity cios prorokowi rewolucji: jego przepowiednie nowego ładu spełniły się tam, gdzie nie doszło — wbrew jego oczekiwaniom — do rewolucji; tam zaś, gdzie rewolucja się odbyła, wytworzył się stan, który zmienić może — według Marksa — jedynie gwałtowny przewrót.

Tak błąd i prawda zmieniły swe pozycje.

Marks głosił konieczność zniszczenia tzw. „świata pośredniego", który stanął między ludźmi a tym, co oni produkują od czasu, gdy przestali wytwarzać na swój jedynie użytek, jak w prarodzinie, ale poczęli dla pracy dzielić się na większe grupy i wymieniać produkty między sobą. Ten system podziału pracy jest nieludzki, gdyż „rabuje i pomniejsza zdolności jednostki", uzależnia ją od całości i zdaje ją na łaskę czynników pośrednich, jak pieniądz, rynek, prawa, rządy, krótko — na „stosunki".

Zdaniem Marksa tylko rewolucja „proletariatu" może raz na zawsze usunąć ów „świat pośredni" i doprowadzić ludzkość do drugiego prastadium, w którym „każdy produkuje według swych zdolności" i „każdy otrzymuje według swych potrzeb".

Na tej nauce opiera się rewolucja z 1917 roku.

Cóż jednak przyniosła rzeczywistość?

W świecie zachodnim „społeczeństwo klasowe" zanika. W miejsce przeciwieństwa między kapitalistycznym przedsiębiorcą a proletariauszem coraz mocniej występuje nowy typ: common man. Zanikają wszystkie przywileje, związane z „kapitałem" a „własność prywatna środków produkcji" — marksowy klucz do rewolucji — całkiem bez rewolucji stała się anonimową własnością małych udziałowców, zarządzaną przez „menażerów".

(Dokończenie na str. 2)

MYŚLĘ WIĘC JESTEM

Nigdzie nie mówi się tyle o „zniesieniu wyzysku człowieka przez człowieka", o „wolności", o „wyzwoleniu", co w krajach za żelazną kurtyną. Właśnie ze stolicy tych obszarów, z Moskwy, często słychać przez radio osławioną piosenkę, że nie ma drugiego kraju, w którym by w takiej wolności człowiek oddychał: „gdzie tak swabodno dyszyt czeławiek". Moskwa to stolica wolności, komuniści to bojownicy wolności, a komunizm jest wolnością samą. Wobec tego... czym jest wolność?

Od wieków wolność jest czczona i wysławiana, a tyraństwo nienawidzone. Rzymskie przysłowie już przed dwoma przeszło tysiącami lat głosiło: „Cara patria, carior libertas": „Droga jest ojczyzna, ale jeszcze droższa wolność". Z tym wszystkim jednak definicje wolności są rozmaite. Zamiast więc wybierać spośród mnóstwa określeń, spróbujmy raczej przypomnieć sobie: co stanowi o wolności? Jakie są jej niezbędne warunki?

Mogą się ludzie sprzeczać o definicje i określenia. Lecz trudno by się sprzeczać o to, co jest warunkiem wolności. Prosty rozsądek wyliczy trzy takie warunki, bez których istnienia mowy o wolności być nie może. Te warunki są bardzo proste i bardzo powszechne i nazywają się następująco: Mieć coś; rządzić czymś; swobodnie działać.

Innymi słowy są to: prywatna własność, która zabezpiecza godność i niezależność człowieka tak doskonale, że nie wymyślono w całych dziejach dotąd lepszego nad nią środka. Dom, który jest naturalnym polem uniwersalnie ludzkiej potrzeby rządzenia. I wreszcie niezależna rodzina — jako pierwszy a najwspanialszy teren ekspansji wolnej woli ludzkiej i swobodnej ludzkiej działalności. Tam tylko, gdzie w harmonii istnieją te trzy warunki, panować może wolność. A jeśli mają one gwarantować wolność dla wszystkich, a nie tylko dla niektórych, to własność musi być powszechna, a zatem ograniczona; rządzenie domem nie może być samowładne i tyrańskie, a ekspansja wolnej woli ludzkiej musi mieć naturalne granice, którymi są inne wolne wole. Brak granic i nieskończoność to cechy Boskie. Człowiek zaś kształtuje się w skończoności, w pokonywaniu oporu stawianego przez warunki i okoliczności. Tworzenie w warunkach ograniczenia prawnego i rozumnego nie sprzeciwia się zasadzie swobodnego działania. Boć przecie i wszelka prawdziwa sztuka polega na wyborze, a więc ograniczeniu. Dlatego też genialny poeta Goethe powiedział, że „z ograniczenia poznajemy mistrza".

Zasada swobodnej twórczości w warunkach ograniczenia; radość z pokonywania oporu jest wrodzona naturze ludzkiej. Niektórzy znajdują zaspokojenie tego przemożnego instynktu w tym szczególnym rodzaju twórczości, który się nazywa sztuką. Ale przeważająca, rozległa masa ludzi, którym bezpośrednia twórczość artystyczna jest niedostępna, znajduje ujście dla swych pragnień twórczych w tej działalności, jaką jest swobodne, choć w granicach ładu, dysponowanie rzeczami posiadanymi i nabywanie rzeczy na własność. Słowem: w swobodnym gospodarowaniu własnością. Własność jest więc dla szerokiego ogółu tym, czym twórczość dla artystów: **Własność jest sztuką demokracji.** Bez niej demokracja nie istnieje. Do istoty demokracji należy bowiem: niezależność i zabezpieczenie godności własnej. I jedno i drugie daje tylko własność, która jest też podstawą własnego domu i niezależnej rodziny. Gdzie tego nie ma, gdzie choć jeden z tych elementów jest zagrożony, tam jest tylko niewola, choćby ją po tysiąc razy na godzinę nazywano „zniesieniem wyzysku człowieka przez człowieka".

Mikołaj Dąbrowa

NAJBLIŻSZY DODATEK P. N.

„ŻYCIE KRAJU"

ZA MIESIĄC: LIPIEC I SIERPIEŃ BIEŻ. ROKU

ukaże się przy końcu lipca jako dodatek podwójny.

NUMER „ŻYCIA" wraz z tym podwójnym dodatkiem „ŻYCIE KRAJU" będzie obejmował — **8 stron druku** i będzie kosztował wobec tego — **2 szylingi.** — Nosić on będzie datę 31 lipca — 7 sierpnia 1955 (nr nr 31 i 32) i ukaże się na okres dwóch tygodni, w czasie których pracownicy „ŻYCIA" otrzymują urlop.

OPRÓCZ ZWYKŁEGO MATERIAŁU „ŻYCIE KRAJU" W ZNACZNEJ SWEJ CZĘŚCI PRZYNIESIE OŚWIETLENIE ROLI TAK ZWANYCH

„KATOLIKÓW POSTĘPOWYCH"

Liczne artykuły i notatki na powyższy temat złożą się na wszechstronne oświetlenie tego znamiennego zjawiska.

PIERWSZY NUMER WRZEŚNIOWY „ŻYCIA"

(nr 36, z datą 4 września 1955)

BĘDZIE POŚWIĘCONY ZAGADNIENIU

NIEMIEC WSPÓŁCZESNYCH

Artykuły wybitnych polskich znawców przedmiotu oświetlą najważniejsze aspekty zagadnienia niemieckiego z perspektywy dziesięciolecia: od czasu klęski w 1945 r., oraz obecnej sytuacji Niemiec odradzających się jako państwo suwerenne.

Numer będzie obejmował — 6 stron druku, a cena jego wyniesie 1 sh. 6 d.

MARKS — PRAWDZIWY

(Dokończenie ze str. 1)

Nikt dziś nie mówi już o „ideologicznej nadbudowie", która według Marksa wznosi się nad „bazą" kapitalistycznego społeczeństwa klasowego. Nie słyszy się o „ciągnięciu korzyści materialnych z obrzędów religijnych", o „uprawnieniach płynących z ładu Bożego", o wierze chrześcijańskiej, jako „opium dla ludu", które ma powiększać dobra bogaczy.

Wreszcie i państwo, zwalczane przez Marksa, jako twierdza klasy rządzącej, jest dziś w świecie zachodnim na tej drodze do „wymarcia", którą Marks przewidywał dla komunistycznego społeczeństwa przyszłości. „Welfare State", twór demokracji XX wieku, jest dla common man'a instytucją, która ma zrealizować jego pretensje.

Wraz z państwem klasowym, które Marks chciał znieść przez rewolucję, zniknął — znów bez rewolucji „od dołu" — ten twór, przeciw któremu skierowany był apel do „proletariuszy wszystkich krajów": zniknął suwerenny naród. Dla liberałów i konserwatystów z czasów Marksa naród był czymś ostatecznym, nieodzownym, corpus misticum, które może od swych członków żądać każdej ofiary, nawet moralnego poświęcenia się.

Jakże innym jest natomiast obraz świata wschodniego, zbudowanego na doktrynie Marksa!

W Sowietach w całej rozciągłości obowiązuje wiara w „posłannictwo własnego narodu". Obowiązuje pod karą śmierci. „Naród radziecki" ma misję przodowania „nowemu człowiekowi". Ten zaś ma wierzyć, że Sowiety nie potrzebują uznawać żadnego prawa moralnego, poza prawem do swego bytu i że są one najlepszym państwem świata. Jednym słowem: „człowiek radziecki" musi patrzeć na swoją „ojczyznę" tymi samymi oczyma, co Europejczyk z połowy XIX stulecia: jako na najwyższą z wszystkich wartości.

„Sowiecka ojczyzna" jest, według tej logiki, całkowicie „instrumentem klasy rządzącej" (zwanej partią komunistyczną), a zarazem klasycznym przypadkiem „ideowej nadbudowy". Bo państwo to mówi „demokracja" a myśli o władzy egzekutywy partyjnej, mówi „pokój" a myśli o rozszerzeniu zasięgu władzy sowieckiej. Zna tylko jedną, jedyną „utrzymującą państwo" filozofię — „materializm dialektyczny". Z niej wyprowadza swe prawo do nietolerancji, prześladowania odchyleńców, do tajnej policji i kary bez sądu.

A „podbudowa", na której zbudowane jest to państwo, wykazuje znów wszelkie cechy tego, co Marks nazywał „społeczeństwem klasowym": wyzysk „masy pracującej" dla celów gospodarczych, sprzecznych z jej wolą. Aby się zaś obrazy pokrywały całkowicie, to jest też i „przemysłowa armia rezerwowa", która według Marksa umożliwia klasie panującej ciągnienie zysków również w okresach kryzysów: są miliony ludzi w łagrach...

◆

Marks zwykł był drwić ze wszystkich współczesnych mu, którzy wierzyli w ewolucję stosunków w świecie i pragnęli uniknąć rewolucji.

Z Marksa zadrwiła „chytrość dziejowego rozsądku" sprawiając, że rewolucja przeszkodziła w jednej części świata osiągnięciu tego, co ewolucja urzeczywistniła w drugiej.

J. A. Maryański

KSIĄŻKI O MAKIAWELU

Życie i twórczość Makiawela (stara to transkrypcja polska nazwiska autora „Il Principe") od kilku stuleci nie przestaje być przedmiotem rozważań i sądów, często bardzo sprzecznych. Ostatnio przybyły dwie wybitne z tego zakresu książki włoskie, obie wydane w Rzymie. Autorem pierwszej, zatytułowanej po prostu „Vita di Niccolo Macchiavelli", jest markiz Roberto Ridolfi, znany badacz dziejów Florencji okresu renesansu. Ridolfi sumiennie zbadał wszystkie możliwe źródła i odtworzył na ich podstawie przebieg życia Makiawela, zarysowując zarazem jego profil psychiczny. Makiawel wychodzi z tego procesu niejgorzej, w każdym razie lepiej, niż do tej pory przypuszczano. Był w Makiawelu — twierdzi Ridolfi — jakiś rys perwersyjnej przekory, polegający na przedstawianiu się w gorszym świetle, niż było w rzeczywistości. Poza tym lubił wywoływać u swych czytelników dreszczyki przez sformułowania jaskrawe i drastyczne. W twórczości jego wyraźna jest troska o efekt literacki; książki swe przerabiał, by osiągnąć większą zwięzłość, ostrość, i — jakbyśmy powiedzieli dzisiaj — „sensacyjność".

Nie znaczy to wcale, by Ridolfi próbował całkowicie wybielić Makiawela. W każdym jednak razie praca Ridolfiego znajduje się w wyraźnym kontraście z drugą książką, której autorem jest znany swego czasu przeciwnik faszyzmu, osiadły później w Ameryce jako emigrant, Giuseppe Prezzolini. Książka nosi tytuł „Macchiavelli Anticristo", który dobrze charakteryzuje jej treść. Wedle Prezzoliniego za Makiawela prawdziwego uważać należy makiawelizm, to jest słuszne czy niesłuszne (jak się często zdarzało) wnioski, jakie w ciągu ostatnich czterech stuleci ludzie wszystkich narodów wyciągali z pism Makiawela. W tym znaczeniu makiawelizm jest czymś wybitnie niechrześcijańskim.

Prezzolini w pierwszej części swej książki przedstawia poglądy Makiawela, cytując wyjątki z jego dzieł, następnie charakteryzuje jego życie, wreszcie zaś przytacza najważniejsze opinie o pismach Makiawela, uporządkowane chronologicznie krajami.

Z PRZEMÓWIEŃ PAPIESKICH

O ZNACZENIU SZTUKI KINEMATOGRAFICZNEJ

Na wielkiej audiencji w bazylice św. Piotra w dniu 21 czerwca Papież wygłosił do przedstawicieli włoskiego przemysłu kinematograficznego i zebranych osób ze świata filmu długie przemówienie, w którym omówił najpierw znaczenie sztuki kinematograficznej, a następnie zagadnienie idealnego filmu. Omówienie idealnego filmu podzielił Papież na trzy części, z których omówił tylko pierwszą, a dwie dalsze odłożył do następnej okazji.

Papież najpierw mówił o tym, jak ważne miejsce zajmuje film w świecie artystycznym i ekonomicznym i zaznaczył, że niezwykle głęboki jest wpływ, jaki kino wywiera na myśl, obyczaje i życie zwłaszcza warstw najuboższych i młodzieży. Trzeba więc wystudiować cały problem sztuki kinematograficznej w jej przyczynach i skutkach, aby i ona także, podobnie jak każda inna działalność ludzka, była skierowana do udoskonalenia człowieka i do chwały Bożej.

Niezwykłą potęgę kina stwierdza fakt, że liczba osób, które w roku 1954 były w kinach świata, osiągnęła 12 miliardów, z tego w Stanach Zjednoczonych 2½ miliarda, w Anglii 1 miliard 300 milionów, we Włoszech 800 milionów.

Siła atrakcyjna i znaczenie filmu płyną, po pierwsze, z jego zalet technicznych, które sprawiają, że widz zostaje jakby cudownie przeniesiony w świat fantazji; po drugie, z przesuwającego się przed oczyma widzów życia ludzkiego w jego różnorodnych dramatycznych momentach, co jest połączone z subtelnym przedstawieniem i analizą ideałów, błędów, nadziei, mierności i wyżyn.

Jednakowoż wpływu i siły atrakcyjnej filmu nie dałoby się ocenić odpowiednio głęboko, gdyby nie brać pod uwagę praw psychologii ludzkiej, które tłumaczą sposób oddziaływania filmu na umysły ludzkie, a są świadomie stosowane, celem spotęgowania wrażenia na widzach.

Przez zręczne oddziaływanie na widza — na skutek znajomości praw psychologii — twórcy filmu sprawiają, że widz zostaje podbity czy wprost nawet ujarzmiony przez czar przedstawienia i tak jest pod jego urokiem, że jakby w pewien sposób przenosi na osobę aktora swoje JA, swoje dyspozycje psychiczne, doznania wewnętrzne, pragnienia ukryte i niezupełnie uświadomione. Przez cały czas przedstawienia, będąc pod wpływem uroku, który jest w dużej mierze zależny od sugestywnej gry aktora, widz porusza się w świecie aktora jakby w swoim własnym.

Znaczenie sugestywności gry aktora zrozumie się i doceni, gdy zważy się tę właściwość natury ludzkiej, że nie zawsze i nie wszyscy widzowie mają lub zachowują energię duchową, we wnętrzną rezerwę i wolę przeciwstawienia się sugestywności gry aktora; nie zawsze i nie wszyscy widzowie mają zdolność opanowania samych siebie i kierowania sobą.

Rozważywszy to wszystko, rozumiemy, że kinematografią zainteresowały się władze świeckie i duchowne. Czujność władz wyraża się w różnych formach: cenzury filmów, oceny filmów przez komisje kwalifikujące je. Byłoby pożądane, by można było uzyskać zgodne wystąpienia ludzi dobrych przeciw filmom złym. Taka akcja jednak nie jest wystarczająca: zapał bowiem jednostek może wystygnąć i rzeczywiście wystyga bardzo prędko, jak o tym uczy codzienne doświadczenie. Nie słabnie zaś agresywna propaganda, która z filmu ciągnie często obfite zyski i która znajduje łatwo sprzymierzeńców w samych ludziach, to znaczy w ich ślepym instynkcie wraz z jego dążeniem do rozkoszy lub jego brutalnymi i niskimi impulsami.

Ponieważ jednak należy strzec skutecznie moralnego dobra narodu i rodziny, jest przeto jak najbardziej słuszne, by władza publiczna interweniowała w odpowiedni sposób celem przeszkodzenia najbardziej niebezpiecznym wpływom, lub celem ich okiełznania.

Ze względu na to, że najwięcej w tej dziedzinie zależy oczywiście od autorów i producentów filmu, Papież w bardzo serdeczny sposób zwrócił się do nich w następujących słowach:

„A teraz pozwólcie, żebyśmy zwrócili się do was, tak pełnych dobrej woli, ze słowem, jakbyśmy chcieli powiedzieć, poufnym i ojcowskim. Czyż nie byłoby może właściwe, by uczciwa ocena i odrzucenie tego, co jest niegodne i niskie, było już od początku i w szczególny sposób w waszych rękach? Wówczas z całą pewnością nie można by wysuwać zarzutu niekompetencji lub uprzedzenia, jeślibyście wy, z dojrzałością sądu urobionego na mądrych zasadach moralnych i z rzeczywistą powagą, odrzucali to, co przynosi szkodę godności człowieka, dobru jednostek i społeczeństwa, a zwłaszcza młodzieży.

„Żaden rozumny człowiek nie mógłby zignorować albo wyszydzić sumiennego, po rozwadze wydanego, werdyktu w materii dotyczącej waszego własnego zawodu. Czyńcie więc szeroki użytek z tej wyższości i autorytetu, jakie dają wam wasza wiedza, wasze doświadczenie, godność waszej pracy. Zamiast widowisk o małej wadze i szerzących zepsucie, dawajcie obrazy dobre, szlachetne, piękne, które także mogą być, bez wątpienia, pociągające, a nawet sięgające szczytów sztuki. Macie za sobą zgodę i poparcie ze strony tych wszystkich, co mają zdrowy rozum i prawą wolę, a przede wszystkim ze strony własnego sumienia."

Streścił **W. F.**

LISTY PARYSKIE

HAMULEC, ALE TYLKO NA DROGACH

Na skutek manii pośpiechu i braku ostrożności na drogach Francji ginie przeszło 6.000 ludzi rocznie, zabitych w wypadkach samochodowych. W pierwszych dwu sobotach (bo week-end, to szał powszechny) tego miesiąca wydajność tej jazdy dała po 25 trupów. Przeciętna tylko sobotnich wypadków śmiertelnych w roku oblicza się na 21 zabitych. Zaniepokojony rząd zorganizował więc ostatniej soboty specjalny „dzień ostrożności" w całej Francji, uruchomiwszy 45.000 żandarmów i policjantów. Zapowiedziano, że nie będą oni tego dnia spisywali protokołów karnych, ale dadzą jedynie w razie potrzeby stosowne pouczenia kierowcom wykraczającym przeciw regulaminowi ruchu. Rezultat: tylko 12 trupów (nie licząc kilkudziesięciu rannych) zamiast 25. Prasa potraktowała to jako sukces i uratowanie życia około 12 ludziom.

Dlaczego od tego zaczynam niniejszy list? Oto, aby wskazać, że to staranie o życie ludzkie ogranicza się — niestety — tylko do ruchu wozów na drogach. Natomiast na drogach życia moralnego — żadnych hamulców nie ma! Że to nie przesada, na dowód parę wymownych przykładów.

Nie tak dawno skończył się wstrząsający proces: przed sądem stanął 19-letni morderca obojga swych rodziców. Byli to ludzie zamożni, handlowcy obojej. W domu pieniędzy bywało pod dostatkiem: około miliona franków leżało przeciętnie po różnych meblach, a synalek mógł wydawać na bary, kina i hazard przeciętnie po 5.000 franków tygodniowo. Drobne złodziejstwo (tylko 30.000 franków) spowodowane było dobrym sercem: dla poratowania kolegi, który się zgrał do nitki. Chłopiec ten był normalny, ale tak chowany, że nigdy nie zaznał żadnego sprzeciwu ani hamulca; żył bez żadnego kierownictwa moralnego. Zrazu dobry uczeń, potem zaniedbujący się, zamierzał się ożenić i zamiar ten zbyt pośpiesznie w czyn wprowadził uwodząc swą narzeczoną.

I oto nagle, bez najmniejszego powodu, gdy matka rozwiązywała krzyżówkę, a ojciec spał, za niewytłumaczonym i nieodpartym popędem, syn ten siekierą zarąbał oboje rodziców. Zmieniwszy ubroczone krwią ubranie, spokojnie udał się na wizytę do domu narzeczonej i pogodnie rozmawiał o — przyszłym ślubie z jej rodzicami; zapraszał nawet spotkanych kolegów, by wstąpili do niego i nie okazywał najmniejszego niepokoju, owszem był w doskonałym humorze! W ciągu przesłuchania w śledztwie i w czasie procesu zdumiewał zupełnym brakiem wyrzutów sumienia czy żalu. Biegli psychiatrzy orzekli, że jest to człowiek zupełnie normalny.

I co odkrywa dno duszy tego ojcobójcy i matkobójcy w jednej osobie: obojętny i bez cienia żalu, w ciągu badań okazywał zainteresowanie relacją swego czynu, i jeszcze wyraźniej w czasie mowy swego obrońcy, i z dumą prawie uśmiechał się w momentach dramatycznych argumentacyj znakomitego prawnika-obrońcy, a gdy mu odczytano wyrok, (dożywotnie więzienie zamiast śmierci), zdawał się wyraźnie żałować, że ten tak pasjonujący film trwał dlań — zbyt krótko! Refleksje prasy po wyroku obracały się raczej wokoło „zagadki psychologicznej" i — świetnej mowy adwokata, który — uratował to, niczym nieskrępowane, nędzne i nikomu niepotrzebne, życie... A przecież uderzał tu każdego myślącego człowieka fakt natury moralnej i wychowawczej: oto do czego prowadzi w wychowaniu młodzieży dzisiejszej brak wszelkiego kierownictwa ze strony rodziców, owszem dobrych i zamożnych...

Niemal równocześnie odegrał się drugi pouczający dramat: trzynastoletni Jackie, herszt „bandy Puhaczy", nieletnich chłopców odgrywających w swych zabawach „krwawe napady", zraniwszy w bitce oko 7-letniego brata, w obawie „przed więzieniem" za wybicie mu oka, — udusił go i na dodatek nożem skautowym poderżnął mu gardło. Zmieniwszy ubranie, udał się na policję i odegrał komedię opowiadając, że właśnie znalazł zamordowanego chłopca. W czasie przesłuchania, przyciśnięty krzyżowymi pytaniami, przyznał się do czynu, ale równocześnie więcej interesował się tym, jakie rewolwery noszą uzbrojeni policjanci. Okazało się, że chłopiec ten, który wydawał około 1000 fr. dziennie na strzelające „zabawki", chował się samopas u babki, gdyż rodzice jego się rozeszli. Był on tak dalece urobiony psychicznie wpływem filmów gangsterskich, że w czasie mordu, wprost naśladował wzory widziane na ekranie: strzał — wybite oko automatycznie skłania go do uduszenia ofiary, ale gdy nie widzi krwi na szyi, tnie potworną szramą od ucha do ucha już uduszonego brata i — ma widok pożądanego krwawego cięcia nożem. Nie tylko nie miał Jackie żadnych hamulców, ale przeciwnie sugestywne lekcje „doskonałej zbrodni" (jak się to nawet w tytułach filmów tego typu określa), jakie odbierał raz po raz w kinie.

Trzeci nie mniej zdumiewający, ba! oburzający przykład amoralności naszych czasów, to nakręcanie filmu, który odtwarza z całym realizmem i „autentycznością" znany mord rodziny angielskiej bawiącej na wakacjach we Francji i nocującej we własnej „rulotce": prof. Drummonda, jego żony i córki, zamordowanych przez starego ojca rodziny Dominici, kto wie czy nie z pomocą synów. Wypruty z wszelkich moralnych skrupułów autor scenariusza jest dumny, że zdołał odtworzyć wszystkie szczegóły mordu, nawet dobicie nielitościwe postrzelonej przez bandytów dziewczynki, daremnie próbującej ratować się ucieczką.

Od filmów bandyckich roi się wprost w programach kin francuskich i to filmów nie tylko amerykańskich, ale coraz częściej francuskich, w których role hersztów bandy włamywaczy i morderców grają tak znakomici aktorzy jak Jean Gabin! I grają świetnie, choć czuje się, że się tymi „grisbi", „rififi" czy „shnouff" brzydzą.

Dość chyba tych przykładów świadczących o przeraźliwej beztrosce o wychowanie młodego pokolenia, które na takich filmach urabia swe charaktery i pogląd na życie. Toteż kronika sensacji dnia, donosi dzień w dzień o napadach na banki, na starsze samotne kobiety, na listonoszy pieniężnych i płatników — ze strzelaniną przewidzianą zależnie od sytuacji.

Przejdźmy do spraw pogodniejszych, pomówmy o literaturze francuskiej. Ciekawą na tym polu introspekcję w życie duchowe przeciętnego odbiorcy literatury dała ankieta zorganizowana przez znaną paryską firmę wydawniczą Larousse. Zaproponowała ona głównym domom wydawniczym podanie cyfr wielkich nakładów, aby się przekonać o kierunkach ciekawości masy czytelników, więc ich własnych odbiorców i wyciągnąć z tej ankiety praktyczne wnioski.

Żałuję, że nie mogę tu przytoczyć tej niezmiernie pouczającej listy. Ograniczając się do głównych pozycyj, podam cyfry ich nakładów i echa wniosków, które się komentatorom z punktu widzenia wartości nie tyle handlowej ile umysłowej i społecznej nasunęły. Autorowie ankiety postawili wydawcom pytanie: Jakie dzieła wydane w ciągu ostatniego dziesięciolecia spotkały się z uznaniem publiczności? Oczywiście za miarę tego uznania przyjęto wysokość nakładów w cyfrach.

I cóż się okazało? Oto najwyższą liczbę egzemplarzy osiągnął francuski przekład G. Guareschi: „Le Petit Monde de Don Camillo" — prawie 800.000 egzemplarzy! (Drugi cykl opowieści tego autora, później wydany: „Don Camillo et sesouailles — 283.00 egz.) Po Guareschim idą Closterman (Le Grand Cirque) : 527.000 egz.; Krawczenko (J'ai choisi la Liberté): 503.000 egz.; Artur Koestler (Le Zéro et l'Infini): 450.000 egz.; Saint-Exupéry (Le Petit Prince): 400.000 egz.; Albert Camus (La Peste): 360.000 egz. i tu dość niespodziewanie: Pierre Daninos, tak dobrze znany czytelnikom „Le Figaro", (Les Carnets du Major Thompson): 340.000 egz., po nim humorysta parodiujący dzieje Francji Jean Duché (L'Histoire de France racontée à Juliette): 312.000 egz.; dalej zdobywca Everestu John Hunt (Victoire sur Everest): 305.000 egz; dopiero po nim idzie Daniel-Rops (Jésus et son temps): 300.000 egz.; jego pierwszy tom opowiadający dzieje Starego Testamentu (Histoire Sainte) osiągnął cyfrę 250.000 egz.; przewyższył go o 5.000 egz. amerykański zdobywca nagrody Nobla E. Hemingway (Pour qui sonne le glas — powieść z okresu ostatniej wojny domowej w Hiszpanii); przekład drugiej powieści Hemingwaya (Le Vieil Homme de la Mer) osiąga przeszło 200 tysięcy egzemplarzy. Następne tomy Daniel-Ropsa: (trzeci i czwarty cyklu: L'Eglise des Apôtres et des Martyrs, oraz: Missa est) oba po 200.000 egz.; (zaś z dalszych: L'Eglise des temps barbares ma już 100.000 egz. nakładu, a Le Couple chrétien 60.000 egz.). Gilbert Cesbron, który podjął tak delikatny i żywo w katolickim świecie dyskutowany problem „księży-robotników" w słynnej książce „Les Saints vont en enfer", figuruje z cyfrą 220.000 egz. a niedawno wydany następny jego tom pod wymownym tytułem: „Chiens perdus sans colliers" idzie w 90.000 egz.

Fundator i propagator egzystencjalizmu J. P. Sartre, modny wśród młodzieży akademickiej, zwłaszcza wśród adeptek włóczących się między Odéon a Montparnasse w czarnych spodniach i z ostentacyjnie niemytymi i nieczesanymi badylami włosów, dotarł do stosunkowo skromnej cyfry: (Les mains sales — cóż za trafny tytuł dla rąk, które tę książkę pisały!) — 140.000 egz. oraz (L'Existentialisme est un Humanisme): 118.000 egz., tak że nawet przekład pamiętnika ex-króla księcia Windsor pobił go o 2.000 egz. nadwyżki. Jakżeż nikło wygląda J. P. Sartre jako poczytny autor wobec 18-letniej Françoise Sagan, której „Bonjour Tristesse!" otrzymawszy nagrodę literacką, przekroczyła z miejsca 250.000 egz.!

To zestawienie ilości nakładów ostatniego dziesięciolecia było żywo omawiane w „Gazette des Lettres" oraz w specjalnej dyskusji komentatorów Radio-Paris. Oczywiście byli oni powściągliwi w formułowaniu definitywnych wniosków, dochodząc do przekonania, że mimo tych dość niespodziewanych kaprysów cyfr, więc kaprysów publiczności, wydawcy będą się nadal kierowali raczej swym smakiem i — węchem. Nigdy jednak nie będą pewni, w jakim kierunku pobiegnie gust tej hydry o wielu milionach głów, jaką jest czytająca publiczność we Francji.

Co tu przecież uderza, to fakt, że ta publiczność idzie za modą, ale nieporównanie gromadniej za sensacją polityczną czy sportową; że jednak dobry i popularny film jest najpewniejszą reklamą dla książki, z której pochodzi, jak to się stało dzięki niezrównanej grze Fernandel'a z Don Camillo.

Dalej widać jasno, że publiczność francuska nie krępuje się w swym wyborze względami patriotycznymi i nie uznaje koniecznego pierwszeństwa dla autorów narodowych, lecz czyta raczej cudzoziemców, gdy są bardziej „ciekawi", jak o tym świadczą najwyższe cyfry przekładów dzieł obcych autorów. Natomiast francuski dowcip znalazł powszechne uznanie dla kapitalnych charakterystyk Anglika i Francuza w dobrze i umiarkowanie dozowanych na przemian przyganach i pochwałach obu tych typów w rozmowach Pierre Daninos z jego fikcyjnym angielskim przyjacielem majorem Marmadukiem Thompsonem. To dobroduszna karykatura Anglika stała się od razu tak dalece popularna, że odnajdywano wśród spacerujących po „Ciamps Elajzys" (Champs Elysées) — żywego majora Thompsona i nawet pokazywano go na scenie jednego z paryskich kabaretów.

Dla katolików powodzenie dzieł Saint-Exuppéry, Daniel-Ropsa a i Gilbert Cesbrona (za którymi daleko w tyle idą François Mauriac i Henri de Montherlant) jest raczej bardzo dodatnim świadectwem tej elity, która oczywiście nie zamierza, ani nigdy nie może rywalizować z gustem mas szukających podniety na ringu, czy stadionie sportowym, albo na trybunie politycznej, zwłaszcza międzynarodowej. A jednak pamiętniki Winstona Churchilla nie przekroczyły we francuskim przekładzie cyfry 100.000 egzemplarzy.

Józef Andrzej Teslar

BIBLIOTEKA POLSKA

KATOLICKI OŚRODEK WYDAWNICZY »VERITAS«

12, PRAED MEWS, LONDON, W. 2.

WINCENTY CYGAN

GRANATOWA ZAŁOGA

Fascynujący pamiętnik wojenny marynarza z O.R.P. „Błyskawica"

W PRZEDPŁACIE ZA LIPIEC sh. 9/-.

Po 31 lipca 1955 — sh. 15/-.

ZE ŚWIATA KATOLICKIEGO

W przygotowaniu nowych beatyfikacyj. Św. Kongregacja Rytów rozpatrywała sprawozdania teologów-cenzorów o pismach Sług Bożych: ks. Luigi Orione, założyciela Małego Dzieła Boskiej Opatrzności, zwanego krótko orionistami, Józefa Vaz, księdza ze zgromadzenia zakonnego oratorianów św. Filipa Nereusza i Elżbiety Leseur. Orioniści mają także w Polsce swe domy w archidiecezji warszawskiej i diecezji włocławskiej. Elżbieta Leseur była żoną wojującego ateusza, który czynił nawet wysiłki, by doprowadzić ją do ateizmu. Wysiłki te nie tylko nie powiodły się, ale przyczyniły się do tego, że Elżbieta z letniej katoliczki stała się gorliwą i duchowo wysoce urobioną, studiującą dzieła teologiczne. Lata w małżeństwie spędziła wśród strasznych cierpień spowodowanych chorobą wątroby, a wielkim jej pragnieniem było nawrócenie kochanego męża.

Z pozostawionych przez nią rękopisów mąż już po jej śmierci nabrał przekonania o wielkości jej duszy. Nawrócił się, został dominikaninem i szerzył kult swej zmarłej żony. Obecnie już i on nie żyje.

Internat dla rosyjskich dzieci w Brazylii. Po drugiej wojnie światowej wiele tysięcy Rosjan szukało schronienia w krajach Ameryki Łacińskiej. W Brazylii, w stanie Sao Paulo, jest ich ponad 25 tysięcy, a kilka tysięcy mieszka w Rio de Janeiro i wewnątrz kraju. Zmarły jezuita o. Filip de Regis, zajmujący się apostołowaniem wśród Rosjan, założył Misję Rosyjską w Argentynie, a w Brazylii rozmieścił wiele dzieci rosyjskich w różnych zakładach, by umożliwić im wykształcenie i wychowanie. Powstał także przy jezuitach w Itu, małej miejscowości o 100 km od Sao Paulo, internat dla chłopców rosyjskich, który z braku pomieszczenia nie może przyjąć wszystkich zgłaszających się chłopców i utrzymuje ich tylko 45.

Recenzja o książce gen. Kukiela. W numerze „Osservatore Romano" z dnia 17 czerwca V. M. zamieścił recenzję o książce gen. Kukiela „Czartoryski and European Unity", podkreślając, że polski wielki mąż stanu umiał pozyskać sobie życzliwość Papieży, zwłaszcza Grzegorza XVI, także dla dążeń Polski. Czartoryski nigdy nie oddalił się od wiary, w której był wychowany, i z budującą pobożnością przyjął Ostatnie Sakramenty św.

Św. Joanna d'Arc. W czasie „Dni kina" w Chalon-sur-Saône wystawiono film „Joanna na stosie", którego treść wzięta jest z oratorium Claudela i Honeggera. Od października film ten będzie wyświetlany w miastach francuskich w czasie uroczystości, które odbywać się będą pod patronatem ministerstwa wychowania narodowego.

W X rocznicę. W obecności kardynałów Giuseppe Pizzardo i Benedetto Aloisi Masella odbyła się w instytucie „Maria Assunta" w Rzymie uroczysta manifestacja dla przypomnienia smutnej dziesiątej rocznicy uwięzienia Hierarchii i duchowieństwa Kościoła katolickiego na Ukrainie. Prezes kulturalnego stowarzyszenia włosko-ukraińskiego, prof. Amadeo Giannini, przedstawił w referacie dzieje Unii kościelnej na ziemiach ruskich i obecną sytuację Kościoła na Ukrainie pod okupacją rosyjsko-bolszewicką. Chór papieskiego kolegium ruskiego św. Jozafata wykonał religijne pieśni ukraińskie. Na uroczystości był także ambasador Polski przy Watykanie Kazimierz Papée.

Zebranie biskupów Ameryki Łacińskiej. Zaraz po zakończeniu Międzynarodowego Kongresu Eucharystycznego, który odbędzie się w lipcu w Rio de Janeiro, zbiorą się biskupi Ameryki Łacińskiej pod przewodnictwem kardynała Piazza, by obradować nad dwoma problemami szczególnie ważnymi dla Ameryki Łacińskiej w czasach ostatnich, mianowicie nad wzmożeniem powołań kapłańskich i nad coraz bardziej niepokojącą propagandą protestantów.

Kolonia modli się za Tokio a Tokio za Kolonię. Zakończył się „Tydzień Tokio" archidiecezji kolońskiej pod hasłem zjednoczenia w modlitwach dwóch miast: „Kolonia modli się za Tokio, Tokio modli się za Kolonię". Na zebraniu końcowym przemawiali m. in. kardynał Frings, arcybiskup koloński, i wikariusz generalny Tokio, ks. Nagai.

„The Word". Misyjne zgromadzenie Słowa Bożego, krótko zwane werbistami, wydaje po angielsku miesięcznik „The Word", bogato ilustrowany z artykułami z różnych dziedzin. Dla przykładu podajemy treść jednego z numerów: „Droga Krzyżowa", „Duńska rodzina królewska", „W ruinach Berlina", „Dzikie konie Wyomingu", „Zamrożona muzyka" (o sztuce gotyckiej), „Hiszpańskie koronki", „Skąd wzięła się nazwa Lough Finn?", Św. Piotr Kanizy", „W domu japońskim". Roczna prenumerata 7/6, adres: St. Richard's College, Hadzor, Droitwich, Worcs.

Uprzystępnienie introdukcji biblijnej. Pod tytułem „Lettera d'amore" (List miłości) wydała firma Presbyterium w Neapolu-Padwie książkę dominikanki Henryki Malenza o studiowaniu Pisma Świętego. Książka, licząca 232 strony, opracowuje w sposób przystępny trudne problemy tak zwanej introdukcji biblijnej, a więc historię tekstu Pisma Świętego, inspirację, bezbłędność, rodzaje literackie, kanon Pisma Świętego, znaczenia, hermeneutykę itd.

FILM

FANTAZJA I RZECZYWISTOŚĆ

Każde dzieło artystycznej kinematografii jest przykładem realizacji fantazji twórczej scenarzysty, reżysera, aktorów, dekoratorów i fotografów, a także pokazem możliwości techniki stojącej na usługach ludzkiego ducha. Niektóre jednak filmy problemem fantazja-rzeczywistość zajmują się w sposób szczególny lub wyobraźni twórczej używają jako głównego narzędzia realizacji artystycznej. W ostatnich tygodniach trzy dzieła filmowe stworzone w Anglii dostarczyły ciekawego materiału do rozważań i porównań w ramach tego kluczowego tematu.

W pierwszym, „The Prisoner", wyobraźni twórczej użyto jako instrumentu poznania — mianowicie dotarcia do ponurej prawdy o procesach pokazowych za żelazną kurtyną. Drugi — „20.000 Leagues Under the Sea" — to wybitny przykład przeniesienia w medium filmowe jednej z najciekawszych powieści naukowo-fantastycznych Juliusza Verne, który zmarł równo pięćdziesiąt lat temu. Wreszcie trzeci, o nieprzetłumaczalnym na polski tytule „A Kid for Two Farthings" jest dziełem realistycznym o nastroju fantastyczno-poetyckim, nastrojowym obrazkiem z życia egzotycznego Petticoat Lane w Londynie.

*

Ciężkie drzwi zatrzasnęły się za Kardynałem. Widzimy go na ekranie w bezokiennej, posępnej celi — izolowanego od świata, od swego powołania, wydanego własnym myślom. Nie poddaje się jeszcze. Dotychczas żadna pułapka inkwizytora-oprawcy nie złamała oporu dostojnika Kościoła, żaden haczyk nie naruszył mocnego ściegu woli. Nie uległ nawet pokusie współczucia wobec rodzonej matki i oto teraz, by o niej zapomnieć, chwyta jakąś ścierkę i —kamień po kamieniu — poleruje podłogę celi. Od czasu do czasu metaliczny, brutalny dźwięk zdradza odsunięcie zasówki judasza i oko nadzorcy pasie się męką udręczonego człowieka.

Czy chodzi tu o kardynała Wyszyńskiego? Takie pytanie nasunie się z pewnością każdemu polskiemu widzowi filmu. I tak, i nie — może brzmieć odpowiedź. Treścią filmu Columbii pt. „Więzień" jest wymuszanie fałszywych zeznań i przyznań na niewymienionym z nazwiska dostojniku Kościoła w nienazwanym kraju pod terrorem komunistycznym. Ponieważ ani w sztuce scenicznej Brigety Boland pod tym samym tytułem (którą grano w Londynie przed rokiem), ani w opartym na niej filmie nie sprecyzowano tych szczegółów, Kardynałem tym może być zarówno prymas Wyszyński jak węgierski kardynał Mindszenty. Nie o to zresztą chodzi. Zarówno autorka sztuki i scenariusza jak i realizatorzy filmu — Sidney Box i Peter Glenville — postawili sobie za zadanie pokazać metody śledztwa komunistycznego, które zmusza ludzi silnych i nieposzlakowanych do samooskarżeń. Oczywiście jest to tylko koncepcja hipotetyczna — próba intuicyjnego dotarcia do starannie ukrywanej przez komunistów prawdy. Jednak chociaż nie wiemy, czy tak właśnie było z kardynałem Mindszentym, czy z biskupem Kaczmarkiem — nie możemy powiedzieć, że tak być nie mogło i że podobnie nie może stać się w przyszłości z jakimś nowym męczennikiem.

Pierwsze sekwencje filmu pokazują aresztowanie Kardynała po uroczystym nabożeństwie w katedrze. Spomiędzy tłumu wiernych, którzy kochają i czczą swego Pasterza za jego nieposzlakowany charakter i bohaterską postawę w czasie walki podziemnej z niemieckimi okupantami, agenci tajnej policji zabierają go do więzienia. Popularność Kardynała stwarza poważne trudności rządowi — trzeba go złamać i skompromitować. Kardynał odmawia podpisania przygotowanego przyznania się do szpiegostwa i działalności antypaństwowej. Wobec tego zadanie jego złamania otrzymuje inteligentny specjalista — lekarz i psycholog zarazem. Bez użycia tortur fizycznych ma przełamać wolę więźnia, bo rządzącym nie tyle zależy na jego uśmierceniu, ile na pohańbieniu pasterza w oczach wiernych. Używając głównie metod psychoanalitycznych (co zresztą wydaje się mało prawdopodobne) stara się „śledczy" wywołać w Kardynale sztuczne poczucie winy. Po dłuższym okresie skutecznego oporu wykrywa, że siłą, ale i słabością Kardynała jest jego nadmierna pokora, zbyt wielka wrażliwość sumienia, łatwe poddawanie się wyrzutom. Gdy nie pomogły fałszerstwa w rodzaju perfidnych montaży różnych fragmentów nagranych na taśmę dźwiękową zeznań, zostaje zaaranżowana teatralna niemal scena z zachloroformowaną matką Kardynała. Ale nawet miłość syna, któremu daje się do zrozumienia, że matka zostanie poddana „eksperymentom lekarskim", jeśli przyznanie nie będzie podpisane, nie jest w stanie zmusić Kardynała do fałszywych zeznań. Wtedy „śledczy" zarządza zupełną izolację. Różnymi trickami — jak np. podawaniem co parę minut posiłków z jednoczesnym wmawianiem w uwięzionego, że minęło już kilka godzin, uniemożliwianiem mu snu itp. — oprawcy niszczą powoli w psychice Kardynała poczucie czasu i siłę oporu na sugestię. Jednocześnie, w chwilach największego wyczerpania, krok za krokiem, kropla po kropli sączy „śledczy" w duszę kapłana straszliwe wątpliwości: czy aby po to został księdzem, by służyć Bogu i bliźnim? Czy aby nie w tym celu, by wyrwać się z nieszczęśliwego i ubogiego dzieciństwa, by zaspokoić swą pychę i niezdrową ambicję? A czy nie jest prawdą, że kradł książki w szkole? I tak dalej, i tak dalej — od małych, śmiesznie błahych do cięższych i coraz straszniejszych zarzutów — rzuca szatański „sędzia" na podatny grunt przewrażliwionego sumienia coraz to nowe ziarna zwątpienia. Po pewnym czasie Kardynał jest już prawie gotowy: zaczyna gardzić sobą, zaczyna się przyznawać najpierw do drobiazgów, potem do większych — nie popełnionych zbrodni. Gdy wreszcie enkawudzista podsuwa mu myśl, że jedynym wybawieniem i oczyszczeniem jest świadoma publiczna spowiedź — ofiara jest już dojrzała i można ją zaprowadzić na starannie wyreżyserowany proces pokazowy. Kardynał kaja się. Jest tak otumaniony przez inkwizytora, który potrafił się wkraść w rolę spowiednika, że pierwsze wyznania winy wypadają bardzo efektownie. Co prawda w miarę publicznego przesłuchania zaczyna się w nim budzić głos prawdy i w końcu Kardynał wyrywa się z niewidocznych macek oprawców wołając, że sądzić go może tylko Bóg — ale jest już za późno. Wynoszą go zemdlonego z sali. Zapadł wyrok śmierci.

Film „The Prisoner", któremu cechę realizmu nadają przede wszystkim znakomite kreacje aktorskie Alec Guinessa w roli Kardynała i Jacka Hawkinsa w roli głównego oprawcy, kończy się bardziej tragicznie, niż się zaczął. Władze kasują wyrok śmierci i wypuszczają dostojnego więźnia, lecz wierni witają go urągliwym milczeniem, gdy złamany i odarty z godności kapłana i nieustraszonego człowieka opuszcza mury więzienia. Dodano jeszcze co prawda mało przekonywującą scenę częściowego nawrócenia się „śledczego" (który podaje się do dymisji, nabrawszy obrzydzenia do własnej pracy), nie jestem jednak pewien, czy rzeczywistość usprawiedliwia taki akcent nadziei. Osobiście wolę patrzeć na ten straszliwy film jako na ostrzeżenie przed nowymi niebezpieczeństwami, jakie mogą grozić katolikom w krajach komunistycznych. Myślę, że niebezpieczeństwom tym trzeba przeciwstawić zupełną niewiarę w jakiekolwiek pokajania na pokazowych procesach, a przede wszystkim modlitwę za wszystkich wiernych i wszystkich kandydatów na ofiary szatańskich metod Nieprzyjaciela.

*

W roku ubiegłym admiralicja Stanów Zjednoczonych spuściła na wodę pierwszy okręt podwodny o napędzie atomowym.

Nazwano go „Nautilus" na pamiątkę genialnego pisarza Juliusza Verne, który w roku 1870 wydał swą słynną powieść „20.000 mil podmorskiej żeglugi", opisującą przygody kapitana Nemo na fantastycznej łodzi podwodnej o takiej właśnie nazwie. W tym czasie, gdy amerykańscy dostojnicy państwowi i członkowie Komisji Energii Atomowej odbywali próbne przejażdżki na prawdziwym „Nautilusie", Walt Disney sięgnął do oryginału Juliusza Verne i kosztem ponad 5 milionów dolarów zrealizował piękny kolorowy film kinoskopowy pod tytułem „20.000 Leagues Under the Sea". Powieściowego „Nautilusa" z całym pietyzmem zbudowano ze stali na jednorazowy użytek Disneya i jego filmu. Choć Verne przeczuł — przynajmniej w zarysach — wszystkie stosowane obecnie urządzenia żeglugi podmorskiej z wyjątkiem peryskopu i torped, jego łódź podwodna — jak ją widzimy na filmie i pamiętamy z powieści — jest inna od zrealizowanej obecnie dla celów wojskowych. Jest to ryba stalowa długości ponad 60 m, z szerokimi płetwami, z parą wielkich, elektrycznością połyskujących oczu, których krwawym spojrzeniem straszy napadane okręty. We wnętrzu mieści ona z przepychem urządzoną kabinę kapitana Nemo i jego słynne organy, na których grał pod wodą klasyczne utwory, gdy na powierzchni szalały burze. W scenach podmorskich filmu brało udział ponad 40 na raz ubranych w fantastyczne skafandry aktorów i techników. Fotografowane były na dnie oceanu koło znanej miejscowości Nassau o 3.000 mil od Hollywoodu i trzeba przyznać, że robią naprawdę duże wrażenie. Ale najfantastyczniej i najgroźniej wygląda walka „Nautilusa" i jego załogi z olbrzymią ośmiornicą, której ramiona są dziesięć razy dłuższe od wysokiego mężczyzny. Ta sekwencja — to już czarodziejstwo techniki i zręcznego montażu.

Tajemniczego kapitana Nemo, który mści się na znienawidzonej, bo krzywdzącej słabych ludzkości, gra w filmie świetny aktor James Mason, przydzielonego do ścigającej go marynarki wojennej profesora Aronnax — Paul Lukas, a wielorybnika Landa Kirk Douglas. Akcja filmu idzie na ogół wiernie za powieścią Vernego. W ostatniej sekwencji filmu — jak i w końcowych partiach powieści — profesor Aronnax wyraża nadzieję, że przyjdą czasy, gdy wynalazcy będą zmieniać świat miłością a nie niszczycielską nienawiścią, jaka pożerała kapitana Nemo. Uważa się obecnie, że J. Verne przeczuwał także odkrycie energii atomowej, toteż słusznie końcowy olbrzymi wybuch sfilmowano jako straszliwą eksplozję atomową z charakterystycznym grzybem wielobarwnym, wzbijających się w niebo dymów. Ta część filmu jest prawie dokumentacją współczesności i zmusza widza do niewesołych rozmyślań.

Dobry scenariusz Earla Feltona, wytrawna reżyseria Ryszarda Fleischera pod osobistym kierownictwem Disneya i trafiające w atmosferę powieści kreacje protagonistów — to główne elementy, które przesądziły o wartości artystycznej filmu. Jednak piękne i imponujące osiągnięcie Disneya nie byłoby w pełni możliwe bez zastosowania panoramicznej techniki kinoskopu, dającej szeroki wgląd w pokazywaną akcję, bez polifonicznego dźwięku, znakomitego technikoloru i niebywałej zręczności techników i operatorów. „20.000 mil podmorskiej żeglugi" to udana synteza techniki, organizacji i rzemiosła artystycznego Walta Disneya. Ale zarazem coś więcej. Żaden chyba z wyprodukowanych dotychczas filmów nie mówi tak pięknie o wielkiej, a często niedocenianej prawdzie: że nie tylko wola, ale i ludzka fantazja kształtuje rzeczywistość.

*

Egzotyką jest wszystko, co mało znane, co różne od banalnej codzienności, inne od naszego wyobrażenia o rzeczach i ludziach — jak to się mówi — „normalnych", czyli przeciętnych.

Czasem egzotyka jest tuż-tuż. Ocieramy się o nią nie podejrzewając jej istnienia, nie wyczuwając uroku. I dopiero sztuka wydobywa ją na wierzch, by ukazać zdumionym oczom.

Pisarz Wolf Mankowitz odkrył i opisał w powieści „A Kid for Two Farthings" swoisty czar londyńskiego getta, którego centrum mieści się przy Petticoat Lane we wschodnim Londynie. Inny artysta — Carol Reed, znany wszystkim głównie z „Third Man'a", zrobionego z powieści Grahama Greene'a — przeniósł ten utwór literacki w wymiar filmowy. Tak powstało niezwykłe, pełne uroku dzieło o poczciwym krawcu Kandinskym (Dawid Kossoff), który filozofuje, opowiada bajki i wierzy (tylko troszeczkę, ale wierzy), w istnienie jednorożców; o naiwnym żydowskim bokserze Samie i o sześcioletnim Joe (Jonathan Ashmore), przemiłym dzieciaku, nabywającym za parę szylingów małą kózkę z jednym rogiem — w głębokim przekonaniu, że oto wszedł w posiadanie czarodziejskiego jednorożca, który jest w stanie spełnić każde życzenie dziecka. Prócz tego roi się w filmie od przedziwnych postaci. Jedne z nich są fantastyką, przypominają nieco polskich Żydów opisanych przez Kuncewiczową w „Dwóch księżycach", inni nalewkowskich kombinatorów z Warszawy. Są tam nawet „kieszonkowi gangsterzy" w rodzaju brutalnie groteskowego zawodowego boksera lub zabawnego organizatora popularnych zawodów. Obok głównych protagonistów — Kossofa i Ashmore — wystąpili w tym filmie: Celia Johnson, Diana Dors, Joe Robinson (jako naiwny bokser-amator), Brenda de Banzie, Vera Day i Primo Carnera — nie mówiąc o czarodziejskiej kozie, która bije wszystkich czyniąc niebywałe zamieszanie wśród malowniczych straganów na Petticoat Lane. Świetna reżyseria Carola Reeda, znakomity „Eastmancolour" i pomysłowy montaż A. S. Batesa wnoszą do tego filmu dalsze walory prawdziwej sztuki filmowej.

Jesteśmy tu świadkami bardzo trudnego i niezwykle rzadko udającego się zastosowania fantazji i fantastyki w filmie realistycznym. W „A Kid for Two Farthings" nie dzieje się nic takiego, czego nie można sobie wytłumaczyć „normalnym biegiem" rzeczy w „normalnych" ramach psychologii i socjologii. A jednak film jest pełen nastroju, poetyckiej dziwności i mówi więcej o ludziach i ich sprawach, niż powiedziałby traktat naukowy o brudnym i hałaśliwym getcie żydowskim w Londynie. Dlaczego tak się dzieje? Bo umiejętnie użyto tu fantazji jako środka pogłębienia naszej wiedzy o pewnym środowisku, bo w szczególności dużą część obrazowej opowieści przepuszczono przez wrażliwość i wyobraźnię dziecka i przez mentalność dorosłego, ale wrażliwego na dziwność życia człowieka (Kandinsky). Bo wreszcie fantazja twórców filmu potrafiła w y d o b y ć piękno z pozornie najbanalniejszych i najbardziej prozaicznych widoków. Ta estetyczna, ale nie estetyzująca funkcja fantazji stanowi **differentio specifica**, odróżniające metodę i osiągnięcie Reeda od omówionych wyżej realizacji filmowych, a także od wielu nieudanych prób „poetyzowania" w sztuce. Łatwo bowiem jest wyglansować, osłodzić — czyli sfałszować jakiś odcinek rzeczywistości, ale trudno, bardzo trudno p r z e ż y ć piękno wśród bud jarmarcznych i w ciągłej pogoni za codziennym zarobkiem.

St. Pal.

FRAGMENT PROCESU POKAZOWEGO Z FILMU „THE PRISONER"
Po wymuszonym na Kardynale „przyznaniu się" do winy, prokurator woła z patetyczną obłudą: „Spójrz w oczy swemu ludowi, który zdradziłeś!"

Scena z filmu Disneya: „Dwadzieścia tysięcy mil podmorskiej żeglugi".

NOWE KSIĄŻKI

„DROGA DONIKĄD"

Literatura piękna nie jest w swej najgłębszej istocie zaspakajaniem głodu fikcji, przeciwnie, syci ona głód rzeczywistości: minionej, obecnej, przyszłej i możliwej. Dzieło literackie poszerza życie czytelnika, który zachwyca się utworem literackim tym bardziej, im bliższy jest on rzeczywistości. Najchętniej czytuje się o sprawach osobiście przeżytych lub znanych z własnego doświadczenia. Czytelnik wówczas jakby pożycza od pisarza lornety przybliżającej i powiększającej życie. Stąd powodzenie tzw. wspomnień z wojny, z obozów, z niewoli, powieści współczesnych i wszelkich „rozrachunków" z rzeczywistością.

Rozwój literatury jest rozwojem realizmu literackiego. Forma baśniowa, alegoryczna czy utopijna nie wyklucza i nie przekreśla, oczywiście, realizmu tematu czy problemu. Powieść fantastyczną i sentymentalną wyparła powieść historyczna, po niej z kolei przyszła powieść współczesna i obyczajowa. Nad wszystkimi tamtymi odmianami bierze obecnie górę powieść polityczna, połączenie powieści historycznej i współczesnej. Jak dotąd, jest to najwyższy stopień realizmu w literaturze, wymagający od pisarza największej ze sztuk: umiejętności spojrzenia na rzeczywistość, wyrażenia jej i objaśnienia.

Powieść polityczną można by określić także jako powieść z dziejów najnowszych, gdyż za przedmiot ma ona rzeczywiste postacie i zdarzenia, do których pisarz dołącza postacie i wydarzenia fikcyjne, podobnie jak w powieści historycznej. Odległa historia bywa jednak zwykle Dzikimi Polami dla wyobraźni, w przeciwieństwie do historii najnowszej, która jest doskonale znana, a w każdym razie łatwo sprawdzalna. Autor zatem powieści politycznej musi posiadać wszechstronną znajomość przedmiotu i umiejętność prowadzenia czytelnika nie w świat urojony, lecz w trudną i zawikłaną rzeczywistość, jak przewodnik po wysokich górach.

Również to, co jest elementem psychologicznym i obyczajowym, nie może być czczym wymysłem w powieści politycznej, gdyż czytelnik znający współczesne życie i ludzi wymaga od autora albo wiernego obrazu albo rzetelnej rozprawy z rzeczywistością.

Ciężar powieści politycznej jest zbyt wielki, toteż przeżyciom z tej dziedziny dają pisarze wyraz raczej w pamiętnikach, a rozprawę z nią podejmują zwykle w sposób publicystyczny. Czasem też powieść rozrywa tamy fikcji rozlewając się w publicystykę, jeśli nie w zwykłą propagandę. Z literatury krajowej przykładowo można wymienić dwie powieści polityczne: udaną „Pamiątkę z Celulozy" Newerlego i chybioną „Rzeczywistość" Putramenta. Pierwszą typową powieścią polityczną, jaka się pojawiła na emigracji, było „Zdobycie władzy" Czesława Miłosza, ale znacznie wcześniej Józef Mackiewicz napisał „Drogę donikąd". Trzeba jednakże było prawie dziesięciu lat, aby się ta książka mogła ukazać drukiem.*)

Kiedy się czyta powieść, a osobliwie gdy to jest rzecz długa, czytelnik często przebiega z niecierpliwością przez ustępy nudne i zbyteczne, przez popisy pióra, rozlewne opisy i z łatwością mógłby wskazać autorowi, co śmiało można było skrócić lub ominąć. Na 384 stronicach „Drogi donikąd" nie ma ani jednego słowa zbytecznego, a po zamknięciu okładek tej książki pozostaje żal, że się tak rychło skończyła. Jest to bowiem najpiękniej napisana polska powieść powojenna.

Najpiękniej napisana, przede wszystkim. Józef Mackiewicz pisze tym samym językiem co Adam Mickiewicz. Albo właśnie dlatego, że to język Mickiewicza, albo dla niewinnej i zdumionej naiwności, albo dla łagodnej śpiewności, albo dla innych niezbadanych przyczyn dźwiękowych lub pojęciowych, mowa Polaków z dawnego Księstwa Litewskiego wydaje się stworzona na język literatury, a w naszą kostniejącą, jeśli się nie wspiera na gwarach, polszczyznę koroniarską wnosi rozkoszną świeżość. Mackiewicz włada nią ze świadomością doskonałości narzędzia i to ręką nieomylnego znawcy sztuki pisarskiej. Cóż za umiar, jakaż celność wyrazu, smak estetyczny, trafność wyboru istotnego szczegółu! Zmysł, szósty zmysł pisarski! Krajobraz — mawiamy — opisuje się. Józef Mackiewicz nigdy nie opisuje, a tylko pisze. Pisze o krajobrazie, tak samo jak o ludziach, których nigdy nie portretuje, nigdy nie modeluje ni nie stroi, nigdy nie zaprząta uwagi szczegółami ich rysów i kolorów. Nigdy też nie rozkłada na stole doświadczalnym ich dusz i charakterów. Nigdy ich nie wyróżnia, nie kocha się we własnych postaciach, nie rzuca na nie świateł ani cieni.

Treścią „Drogi donikąd" jest życie ludności Wilna i Wileńszczyzny w latach pierwszej okupacji sowieckiej od września 1939 do czerwca 1941. Inaczej niż w większości pamiętników i prób powieściowych o tamtych czasach i ludziach, Mackiewicz nie zajmuje się bohaterami i konspiratorami, lecz przede wszystkim ludźmi prostymi, wciągniętymi, oczywiście, w wir spraw politycznych, ale traktującymi tę politykę jako nieodzowną konieczność życiową w nowych warunkach bytu.

Nie są to ludzie dobrzy ani źli, lecz słabi, a więc po prostu ludzie. Ci, którzy upadli najszybciej i najniżej, zachowali na dnie duszy jakieś grudki szlachetności i miłości bliźniego, ci, co się najdłużej opierali, upadają z tym większą podłością. Upadają kolejno wszyscy, mądrzy i maluczcy, chytrzy i i prostacy, szlachetni i sprzedajni, cnotliwi i występni, odważni i tchórze, starzy i młodzi, inteligenci, chłopi i robotnicy, Polacy, Białorusini, Litwini i Żydzi, kładąc szyje dobrowolnie lub poniewoli w obrożę okrutnej doktryny. Niezłomnym pozostaje śmierć lub droga donikąd.

Nie ma jednak w powieści walki. Jest tylko potworny walec, kruszący wszystko, co się znajdzie na jego drodze. I co straszniejsze, że tylko ręce kierujące tym walcem są obce, nasłane do kraju, ale sam walec, to powszechny strach, popychający ludzi ku każdej podłości i zdradzie.

Jeden ze starych chłopów wypowiada w powieści takie słowa: „Pan Bóg, On, widzisz, z szatanem wojuje, a nie z ludźmi... Żeby to byli diabły jakie z ogonami, na kopytach krowich i z widłami od gnoju, jak ich malują, to może w ta pora Pan Bóg zesłałby jaki zastęp aniołów z mieczami. Ale sowieci... takie same ludzie, jak i my... Pan Bóg w taka małość ani nawet wdawać się nie będzie... Na szatańską siłę jest Boska odpowiedź, a na ludzka siła tylko ludzką można dać odpór. To i nie ma czego Panu Bogu głowa durzyć i cudu domagać się, a trzeba za wszystkiem inaczej..." Tak mówi stary pielgrzym, lecz na widok sowieckiego żołnierza umyka żegnając się w panice.

Józef Mackiewicz napisał pierwszorzędną powieść polityczną dlatego, że jest świetnym artystą i równie świetnym publicystą. „Droga donikąd" to nie tylko epos o przemocy, ale i świetna znajomość jej mechanizmu. Rozsiane po powieści uwagi o komunizmie i sposobach walki z nim dają pełny i konsekwentny zarys oryginalnej koncepcji publicystycznej. W jej świetle zrozumialej się rysują poglądy wyrażane przez Józefa Mackiewicza w czystej publicystyce, którym niedawno poświęciliśmy w ŻYCIU parę cierpkich uwag. Komunizm — wedle Józefa Mackiewicza i niektórych bohaterów jego powieści — to wróg nie tylko podbitych narodów, lecz wróg wszystkich narodów, z rosyjskim włącznie. Wszystkie narody mają się stać miazgą dla nowego narodu: sowieckiego. I nie ma innego wyjścia jak nieubłagana walka na śmierć i życie. Wybór między walką i niewalką „zachodzić może tylko wtedy, jeżeli przez niewalkę zachowasz siły, które byś w walce musiał lub mógł zmarnować. Otóż ten wybór nie istnieje w tej chwili. Dylemat, aktualny w stosunku do każdego innego najeźdźcy na globie, w stosunku do najeźdźcy bolszewickiego nie istnieje, dlatego że porządek rzeczy jest tu niejako odwrócony. Bolszewizm predestynowany jest do tego, aby zniszczyć bez reszty siły niebolszewickie. I to w każdym wypadku. Nie broniąc się, nie walcząc, ułatwisz mu tylko zadanie zniszczenia samego siebie. Można by przyjąć formułę taką: jeżeli walcząc masz znikome szanse na życie, to nie walcząc nie masz żadnych. Bolszewizm bowiem likwiduje nie za czyn wrogi, a za odmienną myśl... Jedyna szansa uniknięcia jest w walce. Nawet jeżeli chodzi tylko o przedłużenie życia, to jest ono po stronie walki. Po stronie poddania się, po stronie kompromisu nie ma, powtarzam, żadnej szansy, bo bolszewizm nie zna kompromisu. Gdyby go znał, nie byłby bolszewizmem, to jasne. A więc zlikwidowani zostaną wszyscy niebolszewicy. Pozostaną tylko ci, którzy się na bolszewików dadzą przerobić, czyli przekuć z własnego narodu na naród sowiecki. Owszem, nie walcząc oszczędzisz pokaźną liczbę ludzi tej kategorii, ale oszczędzisz dla kogo? Dla tychże bolszewików, oczywiście... Jeżeli wyjdziemy z założenia, że bolszewizm jest złem, a ja z tego wychodzę właśnie, to idąc na kompromis przyczyniasz się pośrednio do wzmocnienia tego zła. Powiadasz, walka ma wątpliwe widoki zwycięstwa; niech będzie nawet: żadnych... Ja idę nawet dalej i zakładam, że teoretycznie w walce z bolszewizmem ginie cały naród bez reszty. Otóż, skoro uważam, że bolszewizm jest złem samym w sobie, złem obiektywnym, wolę, żeby mego narodu nie było wcale, niż żeby był narodem bolszewickim i stał się instrumentem do rozpowszechniania zła na świecie!"

Tak więc dramat „Drogi donikąd" jest tylko pozornie polityczny, a w istocie moralny, a nawet religijny. Dlatego też i wydarzenia polityczne usunięte są w powieści na dalszy plan, natomiast rządy sowieckie na Wileńszczyźnie przedstawione są jako szaleństwa szatana. „Życie teraz — mówi jedna z postaci — na tym tylko zasadza się, że każdy nie sobie dobrego, a drugiemu złego życzy."

Otóż z tą ukrytą tezą polityczną i religijną, lub jeśli kto woli, światopoglądową, autora znakomitej powieści nie możemy się zgodzić, gdyż wznawia ona starą herezję manichejską, wprowadza pojęcie zła absolutnego, jakie nie istnieje, a ludzkość dzieli na dwa obozy Arymana i Ormuzda, boga jasnego i czarnego. Bóg stworzył wszystko i wszystkim rządzi i Bóg położy kres każdemu złu. Kto zaś w to nie wierzy, pozostaje mu tylko bezbrzeżny smutek zwątpienia i droga donikąd. A to jest właśnie najgorsza pokusa. Taki właśnie pesymizm jest głównym sprzymierzeńcem komunizmu. Na imię mu rozpacz.

J. B.

*) **Józef Mackiewicz DROGA DONIKĄD. Księgarnia Polska Orbis. Londyn (1955). Stron 384.**

ŻYCIE

KATOLICKI TYGODNIK RELIGIJNO-KULTURALNY

NIEDZIELA, 10 lipca 1955.

NASZE SPRAWY

ROZWODY

Prasę emigracyjną obiegła wiadomość o szerzącej się w Polsce pladze rozwodów. Plaga ta przybrała szczególne zastraszające rozmiary w Szczecinie, gdzie sąd wojewódzki rozpatrzył w ciągu roku z górą tysiąc spraw rozwodowych, z czego blisko połowę z wynikiem pozytywnym. Liczba rozwodów wzrasta w Szczecinie z roku na rok, w ciągu bieżącego roku sąd szczeciński rozpatruje przeciętnie 150 spraw rozwodowych miesięcznie. Uzasadnieniem wniosków o rozwód jest: wzajemne oskarżenie o zdradę małżeńską, rozkład moralny małżeństwa, oraz awantury. Prasa krajowa, komentując powyższe dane, twierdzi, że „podobnie jak w Szczecinie dzieje się w całym kraju".

Inna wiadomość z Kraju brzmi, że wśród komunistycznego odłamu młodzieży akademickiej panuje moda młodzieńczych małżeństw, oczywiście cywilnych, zawieranych w wieku około lat dwudziestu przez chłopców i dobrze poniżej dwudziestu przez dziewczęta, przy czym małżeństwa te kończą się z reguły bardzo prędkim rozwodem.

Rzecz prosta, byłoby jednostronnością rozciągać powyższe wiadomości na całość polskiego społeczeństwa. Zło zawsze budzi reakcję i tam, gdzie się zło szerzy w sposób jakrawy, tam tym bardziej stanowczo formuje się front opinii publicznej, która się temu przeciwstawia. Młodzież komunistyczna, to nie jest cała polska młodzież, a Szczecin, to nie jest cała Polska. Szczecin jest dziś najbardziej nieorganicznym środowiskiem w Polsce. Wrocław, do którego się w dużym stopniu przeniosło społeczeństwo lwowskie i który wchłonął w siebie także w silnym stopniu tchnienie tego, co miały w sobie najlepszego Poznań i Górny Śląsk, stał się z miejsca środowiskiem silnie skrystalizowanym, o wyraźnym obliczu, o intensywnym życiu kulturalnym, o mocnej opinii publicznej, o zdrowym pionie polskim i katolickim. Natomiast Szczecin, w przeciwieństwie do Wrocławia, stał się polskim „dzikim zachodem", zbiorowiskiem żywiołów burzliwych i mniej lub więcej wykolejonych. Z natury rzeczy mógł także stać się środowiskiem wyraźniej komunistycznym, bo nie mając określonego wyrazu, mógł łatwiej się poddać wpływowi tego, co narzucał reżym.

Ani Szczecin, ani komunistyczna młodzież akademicka — to nie są zjawiska typowe. Z pewnością cyfry przeciętne dla całej Polski wyglądają proporcjonalnie o wiele skromniej, niż cyfry szczecińskie. Mimo to jednak, nie sposób nie uznać, że te cyfry są niepokojące. Tysiąc rozwodów w jednym roku w mieście, które ma 200 tysięcy ludności, to liczba potworna. Bądź co bądź, ci mieszkańcy Szczecina, to są Polacy. Ta młodzież — to są synowie i córki polskich rodzin. Nie daleko pada jabłko od jabłoni. Nawet komuniści, nawet wykolejeńcy, nawet zbrodniarze wyrastają z pnia narodu i świadczą o jego obliczu; naród ma ich takich, na jakich sobie zasłużył. Naród ideowy i moralny ma nawet komunistów ideowych i moralnych; ma nawet zbrodniarzy tragicznych, mocujących się ze swoim grzechem i upadkiem, żałujących swoich win, lub brnących dalej w tragiczną otchłań przez rozpacz. Natomiast ze zgniłego pnia wyrasta — hołota. Miałki tłumek moralnych szaraków, o którym można powiedzieć tylko tyle, że jest zgniły, marny i podły.

Cyfry szczecińskie świadczą, że naród nasz toczony jest przez głęboką chorobę. Chorobą tą dotknięta jest najważniejsza komórka społeczeństwa: rodzina. Że cyfry szczecińskie nie kłamią, wiemy dobrze my na emigracji. Wystarczy pójść do polskiej kawiarni, czy klubu w Londynie i poprosić jakiego bywalca, by nam opowiedział, kim są ludzie siedzący dokoła nas. Będzie mówił co chwila: to jest rozwodnik, to rozwódka, ten ma żonę w Kraju, a tu wziął z kim innym ślub cywilny, tamta ma męża prawdziwego w Argentynie, a „męża" chwilowego w Londynie. To się w pewnych środowiskach polskiej inteligencji już na wielką skalę zaczynało przed wojną, ale po wojnie przybrało rozmiary narodowej katastrofy. I co więcej, nie ogranicza się to już tylko do inteligencji, ale jak świadczą cyfry szczecińskie — i nie tylko one — szeroką falą dotarło „pod strzechy". Cóż się dziwić? Poglądy i styl życia inteligencji docierają pod strzechy bardzo szybko. Nie łudźmy się, że stan rzeczy, w którym naród ma zgniłą biurokrację, ale zdrowy lud, może trwać. Jedno z dwojga: albo lud zmiecie zgniłą warstwę górną i wyłoni z siebie zdrową warstwę moralną, albo na odwrót, i on zacznie gnić. Obawiam się, że to właśnie dzieje się w polskim narodzie. Rozwodnicy, rozwódki stają się na polskiej wsi zjawiskiem równie normalnym, jak w salonach polskiej postępowej inteligencji. Dlaczego miałoby być inaczej? Kmiotków w stylu Brodzińskiego już nie ma. Jeśli wieśniakowi i wieśniaczce brak charakteru, oraz pionu moralnego — to nie widzą oni powodu, dlaczego nie mieliby iść w ślady tak samo pozbawionych charakteru i pionu moralnego majorów i majorowych, mecenasów i mecenasowych, hrabiów i hrabin. A przecież rozwody są dziś w Polsce tak ułatwione! Nie trzeba przechodzić na kalwinizm, czy prawosławie, nie potrzeba się osiedlać na co najmniej dwa lata w byłej dzielnicy pruskiej (gdzie obowiązywało bismarkowskie prawo z czasów Kulturkampfu). I koszty są o tyle mniejsze!

Toczy nas straszliwa choroba — i jeśli jako naród nie mamy zginąć, musimy zabrać się z całą energią do walki z nią.

Pierwszą zasadą w walce z szerzącą się chorobą jest — nie lekceważyć jej. Bardzo jest łatwo się pocieszać: „to warunki wojenne". Tak samo łatwo jest powiedzieć: „oni kaszlą, bo pogoda jest wilgotna". Pogoda jest wilgotna, to prawda, ale oni mają gruźlicę. Jeśli nie będzie się z gruźlicą walczyło, to zaraz się rozszerzy i spowoduje spustoszenie straszliwe.

Trzeba bić na alarm. Trzeba widzieć, że jesteśmy społeczeństwem chorym — i że musimy się leczyć. Trzeba ratować rodzinę, ratować zdrowie moralne polskiego narodu. Trzeba zrozumieć, że stan obecny jest stanem nienormalnym, jest stanem chorobliwym, trzeba wytworzyć w opinii publicznej poczucie potrzeby odbudowania surowości zasad i wymagań.

Drugą, obok zdania sobie sprawy z faktu istnienia zarazy rzeczą do zrobienia jest — odseparowanie tego co zdrowe od ośrodków choroby. Zdrowy, katolicki odłam społeczeństwa musi zacieśnić swe szeregi, musi skrystalizować wymagającą opinię, musi wyrzucić poza nawias swego zbiorowego życia członki chore.

Nie lekceważmy choroby! Sytuacja jest bez żadnej przesady groźna. Trzeba bić na alarm —i brać się do walki.

POLONUS

WŚRÓD KSIĄŻEK I CZASOPISM

JULES SUPERVIELLE LAUREATEM. Wielką nagrodę literacką Akademii Francuskiej za rok bieżący otrzymał świetny poeta i powieściopisarz Jules Supervielle, liczący obecnie 71 lat, autor niedawno wydanej powieści „L'Homme de la Pampa".

Rodzice Supervielle'a — ojciec czystej krwi Francuz, matka Baskijka — wyemigrowali do Montevideo, by tam założyć bank, i właśnie w stolicy Urugwaju późniejszy poeta przyszedł na świat. Supervielle ma wskutek tego dwa obywatelstwa: jedno francuskie, drugie urugwajskie. Związany z bankiem, założonym przez rodziców, Supervielle całe życie krążył między Paryżem a Montevideo (jak się kiedyś pochwalił spędził 400 dni na morzu). Bank jednak w końcu upadł i Supervielle został pewnego dnia bez grosza. Pozycja jego, jako poety, była już jednak tak silna, że rząd urugwajski zamianował go honorowym attaché kulturalnym Urugwaju w Paryżu, pokrył koszty przejazdów statkiem i opłacał mu mieszkanie w Paryżu.

Swą twórczość Supervielle zaczął od poezji fantastycznych i ironicznych, które ukazywały się w zbiorkach „Poémes de l'humour triste" i „Goyavier authentique". Przyszły potem zbiory „Débarcadères", „Gravitations", „Fable du monde". Supervielle pisał także opowiadania treści fantastycznej o zacięciu tragicznym oraz powieści. Próbował z powodzeniem swych sił w dziedzinie dramatu: na deskach scenicznych ukazał się jego „Bolivar" i pełen uroku „Robinson".

Równocześnie wielką nagrodę powieściową Akademii otrzymał Michel de Saint-Pierre, autor „Ce monde Ancien" i „Aristocrates".

PIERRE BENOIT JAKO „SZEF" PRAWICY AKADEMICKIEJ. W „Figaro Littéraire" z dnia 4 czerwca François Mauriac kontynuuje swe uwagi, (o których już pisaliśmy) nad zmaganiami politycznymi w Akademii Francuskiej i ubolewa nad zwycięstwem elementów skrajnie prawicowych, „maurrassowskich". Zwycięstwo to — jego zdaniem — jest dziś zupełne, na co wpłynąć miał szereg czynników, przede wszystkim obojętność, jaką pisarze nawet skrajnie odmiennych przekonań wykazują dla tych spraw, poza tym zaś przyciągnięcie szeregu pisarzy przez Akademię Goncourtów.

Ostatnio — raportuje Mauriac — zaszła zmiana na stanowisku „szefa" prawicy akademickiej, a tym samym człowieka, który decyduje o wszystkim, co się w Akademii dzieje. Do tej pory owym szefem był André Chaumeix, który jednak pochłonięty został w zupełności przez „Revue des Deux Mondes" i sprawami Akademii przestał się zajmować. Następcą jego został znany powieściopisarz Pierre Benoit, człowiek lubiany zresztą przez wszystkich, nawet przez swych przeciwników politycznych.

O ile Chaumeix — wywodzi Mauriac — był przedstawicielem prawicy liberalnej, o tyle Benoit jest maurrasistą najściślejszego obrządku. Był on swego czasu „zaprzysiężonym wrogiem" tego, co można nazwać „rewolucją gide'owską", tym samym więc i periodyka „Nouvelle Revue Française" z jego lat przedwojennych.

Mauriac zapowiada, że być może jego artykuły o walkach politycznych w Akademii staną się zalążkiem książki, która będzie zawierała charakterystyki współczesnych pisarzy francuskich, no i oczywiście samej Akademii. Jak widać, przedmiot ten pasjonuje go, poza tym Mauriac najwyraźniej pragnie mobilizować francuski świat literacki przeciw temu, co nazywa „skrajną prawicą".

DRUGA ANGIELSKA POWIEŚĆ PIETRKIEWICZA. W dniu 11 lipca ukaże się na półkach księgarskich druga angielska powieść Jerzego Pietrkiewicza pt. „Loot and Loyalty" (Grabież i wierność). Rzecz dzieje się w początkach XVII wieku w Polsce i na ziemiach moskiewskich. Główny bohater powieści jest Szkotem.

Książka ukazuje się nakładem londyńskiej firmy wydawniczej Heinemanna, tej samej, która dwa lata temu wydała pierwszą powieść Pietrkiewicza w języku angielskim „The Knotted Cord". Powieść ta, jak wiadomo, miała w całej prasie brytyjskiej recenzje bardzo przychylne i zdobyła sobie duże powodzenie na brytyjskim rynku wydawniczym. Przetłumaczona też została na język duński.

WIECZORY LITERACKIE

TRÓJGŁOS POETÓW O MICKIEWICZU

W Instytucie Sikorskiego w dniu 16 czerwca Stanisław Baliński, Marian Czuchnowski i Bronisław Przyłuski przemawiali w „Trójgłosie poetów o Mickiewiczu", jaki się odbył w ramach imprez organizowanych przez Związek Pisarzy Polskich na Obczyźnie z okazji roku mickiewiczowskiego.

Zdawało by się, że tyle już o Mickiewiczu zostało powiedziane, iż nic już więcej dodać nie można, a jednak każdy z trzech mówców dał coś nowego. Coś świeżego. Coś ze swych własnych doznań i olśnień przy zetknięciu się z Mickiewiczem. I mimo że każdy z nich jest nastrojony na inny, własny ton — jeśli można użyć tego porównania — to czar słowa poetyckiego Wieszcza wywołuje rezonans u każdego z przemawiających poetów.

Baliński oddziaływania liryką. Mickiewiczowska nostalgia, tęsknota za krajem, smutek przemijania z jednoczesną gorącą wiarą, pokorą i godzeniem się z wyrokami Najwyższej Mądrości. Bóg objawiający się w poszumie drzew i zachodach słońca — to wszystko jest zarazem doznaniem Balińskiego.

U Czuchnowskiego przebija nuta buntu. Wszystko, co u Mickiewicza jest krzykiem protestu w obronie człowieka, buntem przeciw bezprawiu, pogardą dla podłości. Wszystko to, co wypływa z miłości do człowieka — jest wyznaniem wiary Czuchnowskiego.

Przyłuski to miłość serdeczna słowa. Do wyrazu poetyckiego. Rym, rytm, nastrój. Barwność i plastycznoć. Jasność i zwięzłość. Nadanie słowu nowego koloru. Nowego dźwięku. Siły. Podkreślenie i uwypuklenie go jakimś nowym ciekawym zestawieniem. Odczucie metafory — oto czym przemawia Mickiewicz do Przyłuskiego.

Wieczór ten nie wzbudził niestety szerszego zainteresowania wśród publiczności londyńskiej. Świadczy to o zaniku smaku artystycznego emigracji, której nie potrafiły przyciągnąć ani temat ani nazwiska prelegentów.

K. S.

CHOROBA NASZEGO WIEKU

Młodość ma to do siebie, iż lubi dodawać sobie powagi, trąbiąc naokoło, jacy to my już doświadczeni, jak znamy życie, jak wiemy, że nic nowego już nas nie może spotkać i niczego dobrego się już od otoczenia nie spodziewamy.

Stanowisko „Poetów Merkuriusza" jest o tyle może uzasadnione, że dojrzewali w epoce walenia się mitów i legend. W epoce rozbestwienia i cynizmu. W epoce, kiedy szatan wyciągnął rękę po dusze ludzkie. Wojna totalna, która przewaliła się nad światem, zwaliła wiarę wielu ludzi. Dojrzewali oni szybciej. Ale dojrzewali samą goryczą. Goryczą, która stężała u nich w ból kamienny. Dojrzewali bez wiary. Bez słońca. Stracili wiarę w ludzkie serce. Więcej, mają do niego pogardę. Trwając w jakimś dziwnym uporze, wierzą w „złe ludzkie serce". Żyją jakby w mroku. A poezja to chyba słońce. Poezja to chyba serce. To nie sama gorycz i cierpienie, ale i miłość. Poezja to właśnie drobna kruszyna wzruszenia serdecznego. To mała chwila doznania i zachwytu. I poeta o tę jedną chwilę doznania bogatszy musi się nią podzielić ze światem.

Wojna przyśpieszyła wiele procesów. Łamańce myślowe mające imitować metaforę, stylistyka imitująca szczerość, wiersze rozwiązywane graficznie, wzrokowo tylko upodobniające się do wiersza, silenie się na oryginalność, arytmiczność i omijanie rymu, wybuchnęły teraz ze zdwojoną siłą. Ale wszystko to już było. Pojawiło się przed wojną, jakby przeczucie chaosu i bezładu, który nastąpi. Ten chaos, ten bezład, to rozluźnienie hamulców w życiu, ten powrót do barbarii i zanik kultury nie mogły pozostać bez echa. Znalazły też swój wyraz w sztuce jako normalna konsekwencja. Sztuka jest odbiciem epoki i jej przeżyć emocjonalnych. Ale w takim razie co znaczą takie pozycje w poezji polskiej jak: Baliński, Czernik, Czuchnowski, Łobodowski, Przyłuski, Sułkowski i tytu, tylu innych?

Józef Jaksiński przedstawiając na wieczorze autorskim „Poetów Merkuriusza" publiczności określił ich jako owoc nieślubnych małżeństw wszystkich prądów poetyckich w Polsce.

Bernard Shaw otrzymawszy ofertę małżeńską ze słowami: „Mistrzu, niech Pan pomyśli, jakie będą nasze dzieci, gdy otrzymają po mnie urodę, a po Panu rozum", odpowiedział: „Droga Pani, przykro mi odmówić, ale czy pomyślała Pani co to by była za tragedia, gdyby się stało na odwrót?".

K. S.

O „KRUCJACIE", DZIECIACH I ROLI MATKI

Wielce Szanowny Panie Redaktorze!

Z dużym zainteresowaniem przeczytałam w numerze ŻYCIA z dnia 12 czerwca artykuł p. Ignacego Wieniewskiego pt. „O krucjatę przeciw rodzicom". Sądzę, że p. Wieniewski wyraził tu myśl, która nurtuje niejednego z nas na emigracji i — oby — zapoczątkował nim tak niezbędną w obecnych warunkach akcję, by na tę bolączkę jakoś zaradzić. Ma rację p. Wieniewski, że najskuteczniejszym remedium na zapobieżenie wynaradawianiu się dzieci polskich byłaby żywo prowadzona propaganda wśród rodziców i przekonanie ich, że nie dbając o polskość w wychowaniu swych dzieci wyhodują nie — jak im się wydaje — szczęśliwych obywateli angielskich, nie obciążonych nostalgią, kompleksem niższości z powodu obcego pochodzenia w tym kraju itp., ale coś w rodzaju volksdeutschów, których swoi się wyrzekną, a obcy będą uważali za coś niższego.

Pozwoliłam tu sobie zabrać głos, choć nie jestem ani fachowcem pedagogiem, ani też w tej chwili nie biorę czynnego udziału w jakiejkolwiek pracy społecznej, ale tylko jako matka dwojga małych dzieci, przed którymi stanie niebawem problem szkoły angielskiej, nauki polskich przedmiotów, zachowania czystości języka itd. Moje dzieci uczęszczają już do szkółki sobotniej i muszę z uznaniem przyznać, że szkoła ta daje ze siebie maksimum tego, co w tak trudnych warunkach i bardzo krótkim czasie (bo tylko kilka godzin raz w tygodniu) dać można. Nie wszyscy jednak rodzice polscy dzieci swoje do tych szkół posyłają, a często ci, którzy nawet zdecydowali się dzieci swoje do polskiej szkoły posłać, nie pilnują, by dziecko przynajmniej regularnie tam co sobotę uczęszczało. Nieraz sobotnie zakupy, wycieczka, lub zajęcia domowe są wystarczającym wytłumaczeniem, by dziecko w sobotę do polskiej szkoły nie poszło. Sobotnia szkoła, choćby była najlepsza, stanowczo nie wystarczy; w domu polskim musi panować polska atmosfera, należy dostarczać dzieciom polskich książek do czytania, opowiadać im w sposób zajmujący o życiu w Polsce, a także rodzice winni pilnie przestrzegać, by w domu lub zabawach z innymi dziećmi polskimi dzieci ich nie używały języka angielskiego.

Czy nie byłoby wskazane wywołanie szerszej polemiki w prasie na ten temat (może coś w rodzaju ankiety dałoby się zorganizować), w której zabraliby głos obok ludzi pióra także i zainteresowani rodzice. Możnaby też urządzić przy każdej szkole sobotniej zebrania rodziców, na które zechciałby przyjść ktoś z naszych literatów czy publicystów i wygłosić pogadankę z dyskusją na te tematy. Z pewnością w takiej akcji wzięłyby też czynny udział organizacje społeczne, zwłaszcza te, których działalność związana jest z zagadnieniem opieki nad dziećmi i wychowaniem — mam tu na myśli Zjednoczenie Polek, Towarzystwo Opieki nad Dziećmi i Młodzieżą, „Veritas"... Dużo też może zdziałać prasa — gdyby np. „Dziennik Polski" zechciał wykazać w takiej kampanii tyleż energii i inicjatywy, co przy organizowaniu wyborów „Miss Polonii", to z pewnością wydatnie mógłby się do sprawy przyczynić.

Chciałabym tu też przedstawić to zagadnienie także widziane ze strony takich rodziców, którzy niestety niedopatrzyli czy też zaniedbali dania dzieciom swoim należytego polskiego wychowania. Na usprawiedliwienie swoje mają oni argumenty m. in. i te, że warunki życia w jakich się tu znajdujemy są trudne i od normalnych dalekie. Wszyscy pracują bardzo ciężko, a obok długich godzin pracy jeszcze dojazdy do miejsca pracy zajmują nieraz po parę godzin dziennie. Ojciec wykonujący przez cały dzień ciężką pracę fizyczną (do której życie nie zawsze go przygotowało) wraca do domu tak zmordowany, że trudno od niego wymagać, by jeszcze wieczorem czytał dzieciom książki lub miał siły zdobyć się na interesujące pogadanki-wycieczki po kraju ojczystym. Pozostaje matka i na jej barkach właściwie wszystko spoczywa. Najgorzej jest jednak, gdy matka też pracuje zarobkowo, bo przecież po powrocie do domu czeka na nią jeszcze pełno zajęć domowych, jak gotowanie, pranie, sprzątanie itp. w nieskończoność. Czy może ona mieć siły na to, by jeszcze czytać dzieciom lub dopilnować ich polskich lekcji? No, a znów w małżeństwach mieszanych, gdzie matką jest Angielką, to jest już rzeczą całkiem niemożliwą, by dziecko mogło nauczyć się mówić po polsku.

Są to argumenty częściowo tylko przekonywujące. Dobre jest stare polskie przysłowie: „dla chcącego nic trudnego". Po nużących dniach pracy jest wolna sobota i niedziela, są wakacje, a zresztą i w dni powszednie, nawet po najcięższej pracy można dziecku zwrócić uwagę, by nie makaronizowało języka. Przy stole można mniej nieco czasu poświęcić narzekaniu na zmęczenie i na swoje bolączki, a zdobyć się na to, by opowiedzieć trochę dzieciom o tym, jak to w Polsce bywało. Dzieci lubią na ogół słuchać opowiadań rodziców z okresu ich dzieciństwa; można w takich opowiadaniach znaleźć momenty ciekawe podkreślające to, cośmy mieli w Polsce ładnego z jej starych zwyczajów, tradycji, obchodów świąt, zabaw, ciekawych miejsc do zwiedzania. Znam rodzinę, w której dzieci wyobrażały sobie, że Polska była krajem bardzo nudnym i ponurym i wcale nie były ciekawe jej poznania dlatego, że ojciec chcąc zachęcić je do pracy i pomagania w zajęciach domowych opowiadał jakie to on miał dzieciństwo wypełnione ciężką pracą, gdzie nie było miejsca na takie głupstwa jak zabawy i rozrywki. W rzeczywistości był on synem zamożnych rodziców, którzy go rozpieszczali i naprawdę niczego mu nie brakło, a jego dom rodzicielski był miłym i kulturalnym ogniskiem, pielęgnującym polskie tradycje, przy tym bardzo gościnnym, gdzie nieraz, jakże miło i dobrze, młodzież się bawiła. Nie ma też stuprocentowego usprawiedliwienia w wypadkach, gdy nie mówi po polsku dziecko pochodzące z mieszanego małżeństwa (ojciec Polak, matka Angielka). Poznałam tu takie właśnie małżeństwo, gdzie 4-letni synek bardzo ładnie mówi po polsku i po angielsku, przy czym czuje się wyraźnie, że język polski jest jego językiem ojczystym, a angielski tym drugim, którym się umie poprawnie posługiwać.

Wracając do trudności, na jakie napotykają matki pracujące zarobkowo, chciałabym wyodrębnić dwie kategorie takich kobiet. Do jednej należą te, które naprawdę pracować muszą, bo zarobek męża nie wystarcza na pokrycie najniezbędniejszych wydatków domowych i na kształcenie tychże dzieci. Tym kobietom należy się współczucie i pomoc ze strony społeczeństwa. Nieraz taka matka zmuszona jest oddać do ochronki (nursery) małe dziecko, które jeszcze nie chodzi do szkoły, a wymaga stałej opieki. Do polskiej nie odda, bo takiej nie ma, więc do angielskiej, gdzie dziecko za niedrogą opłatą ma dobrą i staranną opiekę, ale niestety wynarodowi się, nauczy się mówić po angielsku nie jako językiem obcym (co byłoby tylko dobre, a nawet pożądane), ale jako swoim pierwszym i najbliższym językiem ojczystym, a język polski — o ile je nawet rodzice potem tego języka uczyć będą — będzie dla niego zawsze tylko tym drugim językiem, jednym z języków obcych, którym będzie może nawet poprawnie mówić, ale czuć i myśleć już będzie tylko po angielsku.

Tej trudności nie da się zaradzić, o ile nie będziemy mieli w samym Londynie tylko przynajmniej paru polskich ochronek, lub choćby przedszkoli, gdzie zmuszona do pracy zarobkowej matka mogłaby umieścić dzieci, a które by też przyjmowały dzieci dorywczo na krótki okres czasu, gdy np. matka zachoruje lub też chce wyjechać na parę tygodni niezbędnego dla niej — jak dla każdego ciężko pracującego człowieka — wypoczynku.

Wydaje mi się, że słusznym by też było zaapelować do kobiet bezdzietnych, zwłaszcza tych, które są w lepszych trochę warunkach materialnych i nie muszą same pracować zarobkowo, aby zechciały poświęcić odrobinę swego czasu, powiedzmy jeden dzień, lub choćmy tylko pół dnia w tygodniu, na pomoc pracującym matkom. Gdyby taka wolontariuszka zajęła się raz w tygodniu dziećmi matki przepracowanej, zabrała je na jakieś polskie przedstawienie, przeczytała im polską książkę, czy zajęła odpowiednio zorganizowaną zabawą, czy ciekawym opowiadaniem, byłoby to z wielkim pożytkiem dla dzieci, a matka miałaby możność przez ten czas trochę odpocząć, przeczytać książkę lub pójść na jakiś odczyt. Wszak matka wychowująca dzieci musi mieć oprócz pracy, tak bardzo niewdzięcznej, trochę i strawy duchowej, a na to tak mało ma czasu.

Jest jednak druga jeszcze kategoria pracujących zarobkowo poza domem kobiet-matek, które pracują zarobkowo ze stratą moralną dla dzieci i ze szkodą dla swego zdrowia nie z koniecznej potrzeby, ale by kupić np. ładniejsze meble, szykowniejsze ubranie, po prostu mieć więcej pieniędzy, mieć zawsze w śpiżarni „wyborową" i polskie kiełbasy itp. (wiele osób uważa to za drogę do manifestowania swych uczuć patriotycznych). Wydaje mi się, że dla tej kategorii przepracowanych kobiet zbytniego współczucia mieć nie należy, a raczej przeciwnie trzeba im wytłumaczyć, że aczkolwiek wysiłkiem swoim podniosą stopę życiową domu, czynią to jednocześnie z wielką szkodą dla swoich dzieci, gdyż czas, który mogłyby poświęcić staranniejszemu wychowaniu dzieci i nauczaniu ich prawidłowego mówienia po polsku, oraz wpajaniu im polskich zwyczajów i tradycji, tracą na zdobywanie pieniędzy dla samych pieniędzy tylko.

Proszę przyjąć, Panie Redaktorze, wyrazy prawdziwego szacunku.

Halina Bohdanowiczowa

SPROSTOWANIE

W nrze 25 ŻYCIA w artykule „Intelektualista niemiecki dawniej i dziś", w wierszu 27 od góry szpalty 2-ej powinno być: **„od końca XVIII wieku"**, a nie „do końca". W wierszu 44 tejże szpalty powinno by: „Meinecke", a w wierszu 14 od dołu szpalty drugiej „Ludwig Feuerbach".

W nrze 26 w artykule „Conrad-Korzeniowski po polsku" wskutek mylnego wstawienia wierszy przy korekcie uległ zniekształceniu wiersz 53 od dołu szpalty drugiej, który winien brzmieć: **„czego przejawem było również powo-**(dzenie)".

ŻYCIE Katolicki Tygodnik Religijno - Kulturalny. Wydaje Veritas Foundation Publication Centre. Adres Redakcji i Administracji: Polish Weenkly ŻYCIE, 12, Praed Mews, London, W. 2. England. Telefony: Redakcja i Administracja: AMBassador 6879. Drukarnia: PADdington 9734. Godziny przyjęć w Redakcji: codziennie z wyjątkiem sobót, niedziel i świąt, tylko od kodziny 15.30 do 16. Administracja czynna codziennie od godziny 9 do 12 i od 14 do 17 z wyjątkiem sobót, niedziel i świąt. Redakcja rękopisów nie zwraca. W wyjątkowych wypadkach, na ewentualny zastrzeżony zwrot, prosimy dołączyć znaczki pocztowe. PRENUMERATA płatna zgóry wynosi: miesięcznie 4 szyl. 6d., kwartalnie 13 szyl., półrocznie 26 szylingów. WPŁATY a) **w krajach bloku szterlingowego:** Postal albo Money Orderami lub czekami bankowymi „crossed" (//); b) **w krajach bloku dolarowego:** International Money Orderami lub zwykłym czekiem jakiegokolwiek banku amerykańskiego; c) **we wszystkich innych krajach:** do miejscowego przedstawiciela naszego pisma sposobem przyjętym w danym kraju lub międzynarodowym przekazem pocztowym bezpośrednio do administracji ŻYCIA. CENY OGŁOSZEŃ: 1 cal przez 1 łam = £ 1.0.0, w tekście — 50% drożej, na stronie tytułowej — 100% drożej. PRZEDSTAWICIELSTWA i CENA PRENUMERATY W RÓŻNYCH KRAJACH: **ARGENTYNA: „Libreria Polaca"**, Serrano 2076 piso I, Buenos Aires. **AUSTRALIA: „Vistula"** (Aust) Pty. Ltd., 77, Pitt Street, Sydney oraz **„Społem"**, 35, Wattle Avenue, Royal Park, Adelaide, S.A. **BELGIA:** Mme **A. Kułakowska**, 101, rue Auguste Lambiotte, Bruxelles 3. Prenumerata kwart. 90 frs. **BRAZYLIA: Mme Z. Kietlińska** Casa „Acao", Av. Batel 1514, Curitiba, Parana. **Księżnica Polska**, Caiqa Postal 5201, Rio de Janeiro, **ks. dr Antoni Łatka**, Praça Cel. Fernando Prestes No. 233, Sao Paulo i **Mons. W. J. Slapa**, Rua Marques de Abrantes 215, Rio de Janeiro. **FRANCJA: ks K. Stolarek, D.M.I.**, 29, Av. Gen. Leclerc, La Fertel-sous-Jouarre, (S. et M.). Prenumerata kwart. 540 frs. **HOLANDIA: B. Galas**, Fagelstraat 15A, Breda. **KANADA: Canadian Mosaic Publishers**, Suite 1, 4118 Western Ave., Montreal 6. **International Book Service**, 57, Queen Str. W., Toronto **NIEMCY: St. Mikiciuk**, Gablonzerstrasse 7/I, (13b) München **13 oraz „Informacja Prasowa"**, Postfach 86, (23) Quakenbrück, Prenumerata kwart. 8 RM. **NORWEGIA: B. Łubiński**, Kongesgat 2, Moss. **STANY ZJEDNOCZONE: „Gryf Publication"**, 296, Sheridan Ave., Albany, N. Y., **M. Kijowski**, 13171, McDougall, Detroit 12, Mich oraz **Mme. J. Stojanowska**, 424, Ave. „E", Bayonne, N. J. oraz **„Pomoc" — Eksport — Import**, 761, Fillmore Ave., Buffalo 12, N. Y. Prenumerata kwartalna $ 2.00. **SZWAJCARIA: Mgr. A. Bocheński**, Case Postale 19, Fribourg 2. Prenumerata kwart. 5.00 frs. **SZWECJA: Mgr. B. Kurowski**, Revinkegatan 13B. Prenumerata kwart. 10 kr. **WŁOCHY: Mme.** i OGŁOSZEŃ prosimy porozumiewać się **Z. Bułhak-Jelska**, via Salaria 300 C. Roma.

Printed by: Veritas Foundation Press, 12, Praed Mews, London, W. 2. Tel.: PAD 9734.